



DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1,—.

Rok IX

Warszawa, 24 maja 1953 r.

Nr 21 (391)

Janina KOLENDO

Dawca miłości

MOŻNA by wyróżnić dwa zasadnicze rodzaje wewnętrznego stosunku do katolicyzmu u jego wyznawców.

Jedni kierują swoje wysiłki przede wszystkim na ocenianie spraw świata, ludzi, zdarzeń — przykładając do nich miarę zasad pierwszych katolickiego światopoglądu i stwierdzając — o ile oraz w jaki sposób sprawy te zgodne są lub przeciwnie, czego im nie dostaje, aby mogły zyskać pełną aprobatę z punktu widzenia wymienionych zasad.

Postawa ta jest z pewnością właściwa, gdyż wyraża się w niej przekonanie o słuszności systemu norm katolickich. Jednocześnie jednak, gdy staje się *jedynym* sposobem wyrażania troski o światopogląd katolicki i jego miejsce w świecie, przydaje subiektywnie człowiekowi pozorną godność sędziego w sprawach, które w ogromnej ilości wypadków nie mogą podlegać jego kompetencji.

Nie mogą podlegać — przez głęboką złożoność i trudność dotarcia do tego wszystkiego, co jest prawdziwe. Nawet bowiem przy dochodzeniu do prawd analitycznych — potrzeba wielkiego wysiłku woli i umiejętności, który to wysiłek podejmowany przez ludzkość od pokoleń otwiera przed nią wielkie i nieogarnione perspektywy.

Postawa wyżej scharakteryzowana zawiera w sobie niebezpieczeństwo po wiedzienia sobie: katolicyzm to pełnia Prawdy, katolicy posiadają pełnię Prawdy, a więc starać się tylko należy o konfrontację wszystkiego, co spotykane, z tą posiadaną prawdą.

Dlatego, paradoksalnie na pozór, upatrujemy w takim stanowisku niebezpieczeństwo?

Otóż osiągnięcie Prawdy jest dla katolików *zadaniem*, a pojmowanie jej jako *aktualnego*, pełnego posiadania stanowiłoby znak równości czasowej pomiędzy życiem na ziemi i zdobyciem szczęścia wiecznego, to jest poznania prawdy w Jej ostatecznej całkowitej jedności.

Postawa wyłącznej oceny kryje w sobie dalsze zagrożenie: usprawiedliwia psychologicznie brak przejęcia się katolickim uniwersalizmem w zakresie poznania oraz w zakresie praktyki. Nieposzanowanie dla prawd odkrywanych przez niekatolików i brak woli uczynienia z nich środka dla rozwoju światopoglądu staje się często faktem obciążającym tę postawę. Zrozumiał jest wówczas lekceważący stosunek do wysiłku tych ludzi, którzy w uczciwym dążeniu do prawdy nie idą tą samą drogą i nie kierują się takimi samymi przesłankami.

Nie wyciąga się wniosku z historycznie prostego do stwierdzenia faktu, że podstawowe prawdy filozofii chrześcijańskiej: prawdy o Bogu i duszy nieśmiertelnej nie są dla umysłu ludzkiego bezpośrednio oczywiste, skoro największe chrześcijańskie potęgi intelektualne przez kilkanaście wieków ujmują swe traktaty w formę poważnej, uczciwej polemiki. Gdyby zdania przeciwnie były oczywistym nonsensem, gdyby nie zawierały żadnych elementów prawdy, wystarczyłoby prosty wykład nie pozostawia

jący miejsca wątpliwościom. Nie jest żadnym wyjaśnieniem tej sprawy próba jej ucinania przez oskarżanie przeciwników w polemice — o świadomą złą wolę. Każdy, kto w swoim stosunku do Boga nie pomija posługiwania się intelektem, zgodzić się na to powinien.

Mało przekonująca byłaby opinia, że Summy św. Tomasza, że dialogi filozoficzne św. Augustyna czy traktaty Dunska Szkota z ich formą polemiczną były popisowym chwytym taktyczno-literackim. W jednej treści i formy dzieł wielkich doktorów Kościoła trzeba umieć odczytać i ten trud zmagania się z powagą problemów.

Należy pamiętać o skali różnic pomiędzy docieraniem do prawd ostatecznych i łatwym do stwierdzenia rozróżnieniem, czy jest pogodnie, czy szaleje zawierucha. Umysł rozbudowany oglądaniem owych dysproporcji oddaje jednocześnie hold ich wymiarowi ostatecznemu.

Pomijanie owych różnic budzi natomiast podejrzenie, że prawdy ostateczne katolik widzi podobnie jak różnicę między deszczem i pogodą, że nie one przyjęte są przez niego za sens życia. Stosunek katolika do Prawdy powinien być stosunkiem służebnym, a nie stosunkiem posiadacza, który z lekceważeniem, z góry, pobłażliwie lub może i nienawistnie traktuje każdego, o kim mniema, że jest tej Prawdy całkowicie pozbawiony.

Od początków rozwoju myśli chrześcijańskiej odnajdujemy bez trudu przykłady uniwersalistycznej postawy. „*Wszystko co kiedykolwiek w całej ludzkości zostało dobrze wypowiedziane, należy do nas chrześcijan*” głosi w II wieku św. Justyn. Św. Ambroży zaś mówi, że „*każda prawda, ktokolwiek by ją wypowiedział, pochodzi od Ducha Św.*”

Stosunek św. Augustyna czy św. Tomasza do filozofii starożytnej należy być znany, by mówić tu o nim szerzej. Dodajmy, że postawa uniwersalistyczna odkrywając prawdę odkrywa jednocześnie w ludziach dobro.

Postawę katolika zainteresowanego w pierwszym rzędzie w ocenianiu zjawisk kształtuje chęć chronienia prawdy. Tak człowiek w modlitwie swojej do Boga — Ducha Św. starać się będzie o Jego pomoc w uniknięciu wyżej sygnalizowanych niebezpieczeństw i błędów, modlić się będzie do Dawcy Miłości, aby miłość stanowiła podstawę oceniania przezeń ludzi szukających prawdy, aby narzędzie oceny nie stawało się narzędziem krzywdy ludzkiej, aby narzędzie obrony prawdy nie stawało się jej wrogiem.

★
ALE jest i inny rodzaj stosunku do katolicyzmu u jego wyznawców. Jak i pierwszy — mieć może szczególne osiągnięcia, lecz zarazem inne niesie z sobą trudności.

Rodzaj ów charakteryzuje się tym, że wyznawca zabiera ze sobą w bram życia zasady pierwsze swego światopoglądu po to, by rozwijać wszystkie w naturze ludzkiej tkwiące możliwości, by w świecie wszystko co można uznać za własne. Uznać za własne po to, by szukać coraz szerzej, coraz dalej, nie dla pysznej satysfakcji poznania, ale dla przemiany, dla rozwoju tego, co zastał. Przeżywając prawdę, przeżywając piękno, idąc między ludźmi pozornie wydawać się może bardziej oddalonym od Boga, choć taka postawa bynajmniej nie przesądza rzeczywistej od Boga odległości.

Rozłożyste drzewo tkwiące korzeniami w ziemi żyje wśród zmian pór roku, daje cień, owoce, raduje kwiatami albo bywa ścięte na opał, meble, a może i trumny; liście jego jesienią opadają kryjąc przed mrozem jagody, zrywca choroby. Tu warto szukać jednego podobieństwa z człowiekiem, którego postawę analizujemy: nihy korzenie drzewa zasady światopoglądu są inspiracją coraz pełniejszego rozwoju wyznawcy, który bez lęku, z wewnętrznym poczuciem takiej powinności wchodzi w świat pragnąc uczynić narzędziem jego przemiany wiedzę już osiągnię-

tą przez ludzkość i tę, która może być osiągnięta.

Człowiek taki chce umniejszać skutki grzechu pierworodnego, chce świat uczynić bardziej sprawiedliwym. Chce pomagać ludziom, wszystkim ludziom. Cały jego wysiłek poznawczy nie kierowany ku Bogu bezpośrednio, temu Bogu ma służyć. Człowiek ów wzrasta razem ze światem, światem przyrody, ludzi i dzieł ludzkich, a w rozwoju świata widzi możliwość własnego swego rozwoju.

Spośród wielu przypowieści Chrystusa Pana ta, która mówi o pomnaniu talentów, towarzyszy mu na co dzień. Taki człowiek lęka się nie tylko błędów przekroczenia zakazów, ale i winy zaniedbania. Zaniedbania tego, co w ludzkiej jest mocy, ale mocy bardziej prężnej, bardziej wszechstronnie rozumiejącej, może bardziej wytrwałej, a może bardziej bezwzględnej, może bardziej do ryzyka zdolnej, może bardziej kochającej?

Kiedy się lęka, że kocha za mało, starać się powinien przenieść swą wiedzę o Dawcy Miłości w swe własne życie i tą miarą je sprawdzać. Sprawdzać, o ile motorem jego postępowania jest nakaz kochania Boga i każdego człowieka, czy przypadkiem nie pozostał na dosłownym tylko pojmowaniu norm: nie mów fałszywego świadectwa, nie cudzoloż, nie pożądaj?

Sprawdzać, czy jego inspiracją nie jest może mała, skąpa miłość, czy inspiracji tej starczy na rozumienie potrzeb każdego człowieka co raz lepiej, pełniej i inaczej.

Inaczej dzieci i rodzinę, inaczej podwładnych, inaczej przełożonych, inaczej złączonych koleżeństwem wspólnych celów, inaczej umarłych, inaczej świętych, inaczej cierpiących tuż obok, inaczej tych, co żyją poza bezpośrednim kontaktem, inaczej krzywdzonego, inaczej krzywdzącego, inaczej tego, którego uczucie czyni pozornie jedynym, inaczej tego, kogo uczucie nie przybliża; zawsze

W NUMERZE m. in.:

SZ. DEREŃ — Bezdroża kolonializmu
M. ROSTWOROWSKI — Twórczość w służbie współczesności
J. DOMAŃSKI — Chrystus Pan i Sokrates
W. SENKO — Sokrates
J. GÓRSKI — Rezydent św. Kazimierza
S. BŁAUT — Książka piękna i mądra
A. LEPKOWSKI — Ze szkieletów
T. GÓRSKI — Z problematyki gospodarki wodnej

inaczej i zawsze w istocie tak samo. Sprawdzać, czy w sposobach wyrażania zasady miłości łączy się praca i modlitwa, i uśmiech serdeczny, i odjęcie komuś ciężaru samotności, i walkę o polepszenie warunków życia każdemu człowiekowi.

Dawca Miłości nie tylko uczucie roznieca, ale i umysłowo przynosi dary wzmagające jego naturalne możliwości, przynosi nadprzyrodzoną pomoc woli ludzkiej, skierowanej ku dobru.

Tego, który chce pomóc, aby nasza miłość nie stała się zbyt twarda lub nie rozplynęła się w miękkości jedynie słowach, prosić powinniśmy o pomoc we właściwym rozpoznawaniu potrzeb wszystkich bliźnich, aby miłość nasza była skuteczna nie tylko w stosunku do jednostek, lecz by mogła stawać się zasadą układania współżycia społecznego.

Droga miłości, nie sentymentu, a zasady życia, jest trudna: umysł ma wzrastać i wola potężnieć, uczucie się kształtować. Dawcę Miłości prosimy o pomoc dla naszej większej miłości; miłości coraz bardziej roztropnej, takiej, która daje rozeznanie powinności, różnej w zastosowaniu, a tej samej, jak podkreślił, w istocie. Hold tej miłości, która dla umysłu naszego nie jest na ziemi poznawalna w pełni, oddajemy przez to, że chcemy realizować to, z poznawalnego w niej, co już zostało poznane, a granicę poznania coraz dalej przesuwając.

Przy tak pojmowanej zasadzie cała wiedza zdobywana w ciągu naszego życia może być wprężona do tego, by nie zostawała jakimś obojętnym, martwym polem, jakąś ziemią nieczyją, ale by znalazła swe ostateczne odniesienie.

★
W TAKIM stosunku do katolickiego światopoglądu nie brak jest również szczególnych trudności, które zsumowane przyniesić mogą błąd widzenia Boga nie transcendentnego wobec świata, ale jednoczonego z nim aż do utożsamienia.

W umyśle, jeśli się zablakał — to, co stworzone mogłoby zagubić Tego, który stworzył, stworzenia mogłyby zastępować niejako ich cel ostateczny.

Świadomość takiej możliwości błędu musi wzmacniać wolę do wysiłku poznawczego w stosunku do Boga osobowego i współżycia z Łaską.

Z głębokości nauk o pomocy Boga — Ducha Św. czerpać możemy w każdym stanie wewnętrznego rozwoju, w każdej sytuacji.

Stopień współdziałania z Łaską uświęcającą warunkuje zdobywanie darów i cnót najwyższych. Ale nawet i wtedy, kiedy wiara jest czyniłem jest rozdarta grzechem, nawet wtedy Dawca Miłości otaczać chce skutki społecznego oddziaływania człowieka przez *gratias gratis datae*, duchowe dary — charyzmatyczne. Nie uświęcają one samego

O Duchu Świętym

NASTĘPUJE w Symbolu: „I w Ducha Świętego”. Ta Trójca — jeden Bóg, jedna natura, jedna substancja, jedna moc, najwyższa równość, żadnego rozdzielenia żadnego przeciwieństwa, wieczna miłość. Chcicie poznać, że Bogiem jest Duch Święty? Ochrzćcie się, a świątynią Jego będziecie. Apostoł powiada: „Azali nie wiecie, że członki wasze są świątynią Ducha Świętego, który w was przebywa, którego macie od Boga?” Kościół należy do Boga. Albowiem i Salomonowi, królowi i prorokowi, rozkazano budować Bogu świątynię. Gdyby budował kościół słouca, albo księżycowi, albo jakiej gwiazdzie, albo jakiemu Aniołowi, czyliżby go nie potępił Bóg? Skoro więc zbudował kościół Boga, okazał, że czci Boga. A z czego zbudował? Z drzewa i z kamieni, bo raczył uczynić Bóg Sobie przez sługę Swego dom na ziemi. Tam mieli ludzie Boga prosić i o Nim rozważać. Dlatego mówi Św. Szczepan: „A Salomon zbudował Jemu dom. Ale Najwyższy nie zamieszkuje w dziełach rąk ludzkich”.

Jeśli więc ciała nasze są kościołem Ducha Świętego, jaki jest Bóg, który zbudował kościół Duchowi Świętemu? Bo zbudował Bóg. Jeśli bowiem Kościołem Ducha Świętego są nasze ciała, zatem Ten zbudował Duchowi Święto-

mu kościół, kto zbudował i nasze ciała. Posłuchajcie Apostoła mówiącego: „Bóg ciało tak urządził, że przydał ciału tym członkom, którym jej nie dostawało”. Tak powiedział, gdy nauczał — „aby nie było rozdwojenia w ciele”.

Bóg stworzył nasze ciała. Ziele Bóg stworzył, a ciała nasze kłóż by stworzył? Skąd dowiedzimy, że ziele Bóg stworzył? Kto odziewa, ten stworza. Czytaj Ewangelię: „Jeśli więc tę trawę polną, która dziś jest, a jutro będzie w piecu wrzucona, Bóg tak przyodziewa...” Wieg Ten stworza, kto przyodziewa. Apostoł mówi tak: „Niemądrzy. To, co zasiewasz, nie nabierze życia, zanim w pierw nie umrze. I to, co zasiewasz, nie jest ciałem, które ma się stać, ale samym ziarnem, na przykład pszenicznym lub jakim innym. A Bóg mu daje ciało, jako chce; każdemu nasennu własne ciało”. Jeśli więc Bóg buduje nasze ciała, jeśli członki nasze hduje, zatem ciała nasze Kościołem są Ducha Świętego. Nie powątpiewajcie, że Duch Święty jest Bogiem. I nie dodawajcie Go jako trzeciego Boga, ponieważ Ojciec i Syn i Duch Święty są jednym Bogiem. Tak wierzyć. ★

★ Z „Kazania do katechumenów o wyznaniu wiary” Św. Augustyna.

(Dokończenie na str. 2).

Szymon DEREN

Bezdroża kolonializmu

W ostatnich paru latach Algier, Tunis i Maroko są terenem zacieklej walki ludności miejscowej przeciwko uciskowi kolonialnemu. Ruch niepodległościowy w tych krajach nie jest niczym innym. Właściwie istniał on bez przerwy od czasu stopniowej, wojskowo-kolonialnej okupacji Afryki Północnej przez Francuzów. Początkowo miał on charakter zbrojnego protestu przeciwko obcemu jarzmu ze strony dzikich, niepokornych plemion, zamieszkujących niedostępne góry i rozrzucone oazy Sahary. Bohaterami tych walk byli: w Algierze w w. XIX Abd el Kader, a w Maroku w XX wieku Abd el Krim.

Kosztom ogromnych wysiłków materialnych i przy stosowaniu niezmiernie krwawych represji francuskim władzom kolonialnym udało się złamać dążenia do niezależności plemion, żyjących w archaicznych warunkach ustroju patriarchalno-feudalnego. Głównym jednak środkiem utrzymywania władzy był stosowany przez Francuzów system wygrywania różnych antagonizmów lokalnych, a zwłaszcza przekupywanie i pozyskiwanie sobie miejscowych feudałów. Poza tym, w pierwszym okresie przy stosowywanie tych krajów do gospodarczych potrzeb metropolii powodowało, że burżuazja miejscowa odnosiła korzyści z formowania się stosunków kapitalistycznych i wobec tego zajmowała stanowisko ugodowe w stosunku do obcych okupantów.

Afryka Północna przechodziła jednak następnie klasyczną drogę rozwoju stosunków w krajach kolonialnych i zależnych. W miarę pogłębiania się jednostronnego, podyktowanego interesami monopolistów metropolii kształtowania się gospodarki miejscowej, zaostrzały się coraz bardziej przeciwieństwa między polityką kolonialną, dążącą do maksymalnej eksploatacji surowców i do zalewania podporządkowanych krajów gotowymi towarami przemysłowymi, a burżuazją lokalną, ograniczoną tym systemem w swoich możliwościach ekonomicznych i prawach politycznych. Kapitalizm powodował powstawanie proletariatu miejskiego i wiejskiego, który dość prędko uprzytomnił sobie ścisły związek między walką społeczną a walką narodową. Wreszcie autochtoniczni chłopci, odczuwający podwójne jarzmo współplemiennych feudałów i władz kolonialnych, swą walką o reformę struktury agrarnej potęgują ogólny nurt ruchu narodowo-wyzwoleńczego.

Wypadki drugiej wojny światowej sprawiły, że w Afryce Północnej, tj.

w Algierze, Tunisie i w Maroku, ruch narodowo-wyzwoleńczy przybrał bardzo wyraźnie na sile. Wobec ilościowej słabości proletariatu miejscowego do niedawna znajdował się on jednak w swojej pierwszej fazie rozwojowej, kiedy jak wiadomo ton nadaje narodowa burżuazja, walcząca przede wszystkim o prawa polityczne. Lecz i tam dokonywają się już znane z innych terenów kolonialnych procesy. Część wielkiej burżuazji narodowej, zaniepokojona ruchami rewolucyjnymi szerokich mas pracujących, rezygnuje z urzeczywistnienia pełnych aspiracji niepodległościowych i szuka ugody z władzami kolonialnymi, aby w zamian za dopuszczenie jej do współzrądków okazywać kolonizatorom całkowite poparcie w ich walce ze społeczno-narodowymi dążeniami pracującej ludności. Elementy drobniomieszczańskie i postępową część burżuazji pozostają jeszcze wierne sztandarowi niepodległości, lecz wobec obaw o swe pozycje klasowe tracą dynamizm rewolucyjny, a kierowanie ruchem narodowo-wyzwoleńczym przechodzi w ręce klasy robotniczej.

Na terenie Afryki Północnej, obok partii komunistycznych, program walki o niepodległość kraju głoszą: w Algierze grupy kierowane przez Ferhat Abbasa (bardziej asymilacyjna i ugodowa) i Messali Hadža (bardziej nieprzejednana), w Tunisie partia Neo-Destur, czyli konstytucyjna z Hilali Burghiba na czele, a w Maroku ruch Istiqlal, którego ideologiem był Allal el Fassi. Wszystkie te ugrupowania narodowej burżuazji stworzone zostały przez młodych działaczy, którzy ukończyli francuskie zakłady naukowe, ale przepojeni są bardzo silnie tradycjami kultury arabskiej, zakorzenionej głęboko we wszystkich trzech krajach Afryki Północnej. Ważnym, jeżeli nawet nie najważniejszym czynnikiem składowym kultury arabskiej jest islam, czyli religia muzułmańska.

Te więzy kulturalne stały się podstawą politycznej orientacji ku Lidze Arabskiej, która stojąc na platformie nacjonalizmu panarabskiego nie tylko patronuje ruchowi narodowo-wyzwoleńczemu kół burżuazyjnych Afryki Północnej, ale i okazuje mu wydatną pomoc polityczną na arenie międzynarodowej w jego walce z kolonialistami francuskimi. Stawia ich to w trudniejszej sytuacji, gdyż kryzuje próby utrzymania problemu północno-afrykańskiego jako wewnętrznej sprawy Francji.

Przypomnijmy zresztą, że każdy z trzech krajów Północnej Afryki ma inny statut polityczny. Algier, zdobyty przez Francuzów w 1830 r. (pozostawał przedtem pod raczej nominalnymi rządami Porty Otomańskiej), stanowi dziś formalnie składową część terytorium Francji, lecz jego trzy departamenty mają pewną autonomię finansową. Tunis znajduje się od 1871 r. pod protektoratem Francji, a władza beya jest tylko nominalna, ponieważ administracja kraju spoczywa całkowicie w rękach francuskiego Ministerstwa Kolonii. Maroko również stało się w 1912 r. protektoratem francuskim, a rządy sułtana marokańskiego są pod całkowitą kontrolą francuskiego rezydenta generalnego, zależnego od Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu.

Burżuazyjny rząd francuski przywiązuje wielką wagę do zachowania władztwa w Afryce Północnej, które zabezpiecza Francji silną pozycję strategiczną na Morzu Śródziemnym i jest źródłem bardzo poważnych zysków dla kapitalistów francuskich ze względu na ogromne bogactwa naturalne i rozwinięte intensywnie rolnictwo. Obecne duże nasilenie ruchu narodowo-wyzwoleńczego wywołuje więc silną kontrakcję w postaci zarówno bezwzględnej stosowania terroru wojskowego i policyjnego, jak i nowych gorliwych prób rozbięcia ruchu niepodległościowego od wewnątrz, przez pozyskiwanie sobie możliwie najliczniejszych sojuszników spośród renegatów sprawy narodowej.

Nie dziwnego, że problem Afryki Północnej jest obecnie bardzo żywo dyskutowany w prasie i literaturze francuskiej, czego przejawem jest ukazywanie się co raz to nowych dzieł publicystycznych i naukowych poświęconych temu zagadnieniu. Wśród nich zasługuje na uwagę dwutomowa praca orientalisty francuskiego, prof. Guerniera „Berberia, Islam i Francja” *).

Jest ona nader charakterystyczna dla poszukiwacza dróg i metod, którymi kolonialni francuscy chcieliby utrzymać swą władzę w Afryce Północnej. Świadczy ona również o całkowitym bankructwie dotychczasowego systemu rządów kolonialnych, zmuszającym do gorączkowych wysiłków znalezienia nowej konstrukcji ideologicznej dla przykrycia bezwzględnej eksploatacji ludności autochtonicznej i sztucznego tworzenia nowych antagonizmów wewnętrznych, niezbędnych do stosowania odwiecznej taktyki: divide et impera.

Studium Guerniera jest historycznoliterackim wglądem w dzieje Afryki Północnej, poczynając od okresu punickiego, poprzez epokę rzymską, krótkie intermezzo wandaliskie, studium panowania arabsko-tureckiego, aż do obecnego kolonializmu francuskiego. Autor szuka w historii przesłanek politycznych, narodowych i kulturalnych, które by pozwoliły mu na zbudowanie programu nowej polityki kolonialnej w Algierze, w Tunisie i w Maroku, zdolnej zapewnić ścisłe powiązanie tych krajów z Francją, a więc utrwalenie dotychczasowej okupacji kolonialnej. Obszerne przedstawienie tego programu podane jest naturalnie w sosie „cywilizacyjnej misji Francji”, mającej rzekomo na celu wyłącznie dobro tamtejszej ludności.

Punktem wyjścia ideologicznego wywodów Guerniera jest zupełnie zrytualizowana chęć wykazania, że ludność autochtoniczna Afryki Północnej stanowi od niepamiętnych czasów Berberowie, którym nigdy jednak nie udało się stworzyć własnej, bardziej trwałej państwowości, obejmującej

całość zamieszkiwanych przez nich terenów. Pomijamy niewytrzymujące żadnej krytyki „psychologiczne” tłumaczenie tego faktu indywidualizmem i demokratycznością Berberów. Raczej natomiast ma auter udowodniając, że parę tysięcy lat obcej okupacji, kolonizacji i najazdów nie zdołały zmienić etnicznej podłoża ludności, która po dziś dzień zachowała w dużym procencie swój język i pierwotny charakter oraz nieustannie walczy przeciw obcym najazdom.

Jest niezmiernie charakterystyczne dla politycznych tez Guerniera, że podkreśla on ciągle „zachodni” charakter Berberów, w przeciwstawieniu zwłaszcza do „wschodnich” Arabów i Beduinów, którzy wywarli najsilniejszy wpływ na obecne ukształtowanie etniczne i kulturalne kraju. Jest to jądro jego teorii o „zmaganiu się ducha Wschodu i Zachodu” na terenie Afryki Północnej, teorii, która posłużyła mu następnie jako fundament programu politycznego Francji na przyszłość.

Idąc konsekwentnie po tej linii, Guernier raczej negatywnie ocenia kilkusetletnie panowanie Kartaginy w Afryce Północnej, chociaż nie ukrywa silnych wpływów punickich na kształtowanie się form życia społecznego plemion berberyjskich. Natomiast wyraźnie gloryfikuje również kilkusetletnią okupację rzymską, wyrażając ciągle żal, że błędy administracji prokonsularnej udaremniły dalej idącą latynizację Berberów. Pozytywnie ocenia próby Masynisy i Jugurty stworzenia wielkiego imperium berberyjskiego, ale głównie pod kątem ich opierania się o Rzym, przeciwko dawnym władcom punickim.

Wandalów, którzy panowali w Afryce Północnej około stu lat, autor traktuje jako destrukcyjnych nomadów, najobszerniej jednak analizuje rolę i znaczenie najazdów arabskich, będących również nomadami. Odmawia Arabom wszelkich cech twórczych, widzi w ich charakterze przewagę czynnika imaginacji i emocji nad racjonalizmem, usiłuje wykazać, że wbrew przyjętemu poglądom umieli oni tylko adaptować walory kultury materialnej i duchowej, przejęte przez nich od świata greko-rzymskiego. Robi jedynie wyjątek dla religii islamu, podkreślając zresztą bardzo silnie jej mozaistyczne i chrześcijańskie źródła genetyczne.

W swym stałym przeciwstawianiu Arabów i Berberów Guernier stara się przedstawiać islamizację tych ostatnich jako raczej powierzchowną, zwracając uwagę, że zachowali oni w dużej mierze sprzeczne z Koranem prawodawstwo tradycyjne. Twierdzi, że „arystokracizm” Arabów był w stałym konflikcie z „demokratycznością” Berberów, którym przypisuje daleko większe wartości, a zwłaszcza rzekomo całkowicie „zachodni” racjonalizm. Wykazuje w sposób bardzo ciekawy, iż podbój Hiszpanii i utworzenie tam wspaniałej kultury arabsko-iberyjskiej było dziełem przede wszystkim Berberów. Berberami byli wiecy uczeni i filozofowie, jak Averroes i Ibn Chaldun oraz najwięksi tamtejsi politycy i monarchowie. Zresztą już poprzednio autor podnosił, że również Berberami byli tacy geniusze myśli chrześcijańskiej, jak Tertulian i św. Augustyn.

Ta gloryfikacja Berberów jest zupełnie celowa. Guernier zmierza do politycznego przeciwstawiania w Afryce Północnej autochtonicznych Berberów, historycznie biorąc napływowym Arabom i Beduinom. Twierdzi, że głównym błędem kolonialnej administracji francuskiej było oparcie się po okupacji kraju na bardziej mającym i kulturalnym elemencie arabskim względnie zarabizowanym oraz na licznych w miastach Mores-

kach (Maurach), będących potomkami wypędzonej swego czasu z Hiszpanii ludności muzułmańskiej. W ten sposób władze francuskie przyczyniły się same do dalszej arabizacji i islamizacji Berberów, którzy kontynuowali przeciwko Francji swą odwieczną walkę z każdym najazdzącą. Rzeczywiście, berberyjscy Kabylowie, Riffowie i Tauregowie byli ówrodkiem narodowych powstań Abd el Kadera, Abd el Krima i innych, a i obecnie przejawiają nadal nieprzejednaną wrogość w stosunku do panowania francuskiego.

Guernier stwierdza z żalem, że protegowani stale przez władze francuskie Arabowie, z których rekrutuje się głównie nowopowstała burżuazja kapitalistyczna, tworzą razem z trzymanymi w korbach siłą oręża Berberami z gór i pustyni jednolity front przeciwko francuskiemu panowaniu kolonialnemu. Dopuszczenie do tego stanu rzeczy uważa Guernier za całkowite bankructwo dotychczasowej polityki w Afryce Północnej i wzywa do natychmiastowego podjęcia środków zaradczych.

Środkiem ku temu ma być rasistowski przeciwstawianie Berberów Arabom. Wobec tego, że burżuazyjni przywódcy ruchu niepodległościowego w Afryce Północnej szukają pomocy i oparcia w Lidze Arabskiej i skłonni są przyjąć program federacji panarabskiej, teoretyk kolonializmu francuskiego nawołuje do zaszachowania bezpośrednich wrogów, tj. Arabów, przez wysunięcie przeciwko nim sztucznie tworzonych koncepcji narodowego państwa berberyjskiego, nawijającego do historycznej przeszłości.

Ta koncepcja Guerniera rozszyfrowuje się bardzo prosto. Według jego własnych, bardzo optymistycznych obliczeń, plemiona mówiące jeszcze dzisiaj narzęciem berberyjskim stanowią mniejszość ludności — od 20 do 30% na terenie całej Afryki Północnej, przy czym w Maroku procent ten jest największy, a w Tunisie najmniejszy. Poza tym jest to część mieszkańców najniższej stojącej pod względem poziomu materialnego i kulturalnego, zamieszkująca najbardziej zacofane okolice. Stąd sugerowany przez autora wniosek, że stworzenie państwa berberyjskiego i wciągnięcie Berberów do „kultury zachodniej” wymagałoby dłuższej opieki oraz pomocy gospodarczej i kulturalnej ze strony Francji, co w praktyce równałoby się utrzymaniu francuskiego systemu kolonialnego w Afryce Północnej ad infinitum.

Jak to niepodległe państwo pojmowane jest przez Guerniera, ujawnia stałe podnoszenie przez niego faktu, że Afryka Północna nie jest zdolna do samodzielnego życia gospodarczego i może istnieć tylko w oparciu o ekonomikę Francji. Podawane przez niego sameż dane cyfrowe i gospodarcze przeczą temu całkowicie, ale nie przeszkadza to mu wcale twierdzić z emfazą, że tylko w ramach Unii Francuskiej Berberzy odnajdą nareszcie swą niepodległość i własne oblicze narodowe, niszczony od wieków przez wrogich najazdźców arabsko-beduinickich.

W gruncie rzeczy cały ten sztuczny program jest jedynie nową odmianą stosowanej dotąd bez powodzenia polityki asymilacji i wynaradawiania, z przybraniem jej jedynie w nową formę „okcydentalizacji” Berberów. Zdaniem autora, jedynym poważnym skrupułem na tej drodze jest problem religijny — wyznawanie przez Berberów mahometanizmu. Lecz i na to znajduje Guernier sposób. Pisze zupełnie wyraźnie, że w obliczu dwóch niebezpiecznych ruchów, panarabizmu i panislamizmu, trzeba wybrać przedstawiający mniej szkodliwe niebezpieczeństwo. Dużą część

(Dokończenie na str. 10)

Dawca miłości

(Dokończenie ze str. 1)

chdarowanego — nie łamią jego woli, którą zerwał z Bogiem, ale przeznaczone są w pierwszym rzędzie ku pożytkowi innych, niejako stawiają tamę społecznym skutkom trucizny grzechu. W pamięci naszej na ogół zatrzymujemy tylko te rzadkie dary, które nas zewnętrznie najbardziej zdumiewać potrafią; dar prorocत्व i cudów czynienia.

Pisze św. Paweł w liście do Rzymian (12,6):

„A mamy dary według użytej łaski różne, bądź to prorocत्व w zakresie wiary, bądź to wykonywanie urzędu, w nauce — dar nauczania, w upominaniu dar straszenia.

Kto rodzi, niech to czyni w prostocie, jako jest zwierzętnikiem, niech się przejmie troską, kto pełni uczynek miłosierdzia, niech to czyni z weselem”.

Tym, którzy zobowiązani są do szczególnej odpowiedzialności za skutki społeczne przekazywanej wiedzy czy wykonywanej władzy, Bóg —

Duch Św. używa swej opieki. Tym, których zadania życiowe wyrażają się w wysiłkach poznawczych, Bóg — Duch Św. używa pomocy, by z wiedzy ludzkiej, coraz pełniejszej i szerszej, budować argumentację dla wyjaśnienia za- ad pierwszych światopoglądu katolickiego. Ci, którzy dążą do przemiany stosunków społecznych, prosić będą o pomoc w coraz pełniejszym rozpoznawaniu potrzeb materialnych i duchowych każdego człowieka i pomoc w konsekwentnej ich realizacji.

Wolno o te łaski prosić w podwójnym przekonaniu: w przekonaniu, że w najmniejszym stopniu nie jest się tych łask godnym, oraz w przekonaniu o tym, jak poważne konsekwencje społeczne mogą mieć błędy jednostki.

Ale ta modlitwa jest usprawiedliwiona wewnętrznie tylko wtedy, jeśli rzeczywiście wyruszamy w świat i pełnym jego życiem żyjemy.

Janina Kolendo

* Eugene Guernier: „La Berbérie, L'Islam et la France”. Paris 1952, Editions de l'Union Française. Str. 414 i 396.

Mikołaj ROSTWOROWSKI

Twórczość w służbie współczesności

Wpójeciach wielu katolików panuje rozdzielenie w ocenie dorobku, jaki naród i świat cały osiągnął w okresie powojennym. Doszli oni (aczkolwiek często nie bez trudności i wahań) do afirmacji osiągnięć materialnych, równocześnie odgradzając się i lekając tego wszystkiego, co stanowi dorobek myśli i ducha obozu rewolucji.

Tego rodzaju zapatrywania i wynikająca z nich postawa praktyczna polega na głębokim nieporozumieniu i jest wysoce niebezpieczna, grozi bowiem z jednej strony uchylaniem się przed współdziałaniem obejmującym wszystkich ludzi w trudzie tworzenia wartości kultury, z drugiej zaś strony wyjątkowaniem sił twórczych samych katolików. Jest nie do pomyślenia, aby twórcze i zapładniające tendencje mogły powstać w oderwaniu od podłoża konkretnego życia danej epoki. Nie trzeba zaś dowodzić, że łożyskiem twórczych procesów kulturowych jest współcześnie tylko potężny prąd przemian społecznych, który wydobyla na wierzch, skupia i polaryzuje wszystkie młode i żywe siły na całym świecie.

Dla każdego, kto zastanawia się nad źródłami niepokojących zjawisk absenteizmu części katolików, jedno wydaje się być pewne: źródła tych nie podobna szukać w doktrynie katolickiej. Zarówno ta doktryna, jak i 20 wieków dziejów chrześcijaństwa są na wskroś przesiąknięte aktywną postawą wobec życia. Nauka katolicka ze szczególnym naciskiem podkreśla znaczenie materialnych spraw, nadając im godność przez wskazanie celu, któremu one służą. Nauka ta zwraca również uwagę na cielesno-duchową naturę człowieka i na ścisłe związanie i wzajemne zależności między tymi dwoma elementami składającymi się na osobę ludzką. Na tych podstawach wspiera się również stworzona przez katolickich myślicieli teoria poznania przypisująca podstawowy charakter poznaniu zmysłowemu.

Dlatego też wszelkie próby oddzielenia życia duchowego i intelektu alnego od procesów społecznych i przemian w warunkach materialnych egzystencji ludzkiej w żadnym wypadku nie mogą powoływać się na jakąś teologiczną motywację. Jesteśmy przekonani, że u podstaw wszystkich tych prób i wszystkich tych koncepcji samoistnej kultury duchowej leżą uświadomione lub nieświadomione momenty polityczne, mówiąc ściślej, klasowe. W istocie nie chodzi tu o rzeczywiste niezależnienie i oderwanie kultury duchowej od kultury materialnej w ogóle, ale od kultury materialnej ściśle określonej, tej mianowicie, która rozwija się w świecie socjalizmu. Dziś lepiej niż kiedykolwiek widzimy, że cała elitarna koncepcja kultury mającej się rozwijać ponad „prziemiennymi” sprawami materialnymi nie prowadziła bynajmniej do uwolnienia się myśli ludzkiej od socjologicznych uwarunkowań. Przeciwnie, ten typ kultury jest niezmiernie silnie związany z mieszczaństwem i zbudowaną przez nich strukturą życia zbiorowego. Bynajmniej nie zmienia tego stanu rzeczy fakt, że owa elitarna koncepcja kultury, oderwanej rzekomo od całokształtu warunków cywilizacyjnego rozwoju, legitymowała się podbudowaną teoretycznie, powołując się chętnie na monistyczny spirytualizm czy inne skrajnie idealistyczne teorie.

Przekonanie o niezależności i samodzielności świata wartości duchowych wobec świata materii rzecz prosta nie doprowadziło do tego, aby ta samodzielność stała się faktem w życiu społeczności ludzkich. Równocześnie jednak przekonanie to przy czyniło się do zamknięcia się kręgu elitarnego kultury i do związania jej ściśle z interesem rządzącego w tym czasie mieszczaństwa.

Nie ma nic bardziej sprzecznego z całym duchem chrześcijaństwa niż tego rodzaju poglądy na rozwój kultury. Jeżeli pewni katolicy takie poglądy wyznają, to dlatego że (często nie wiedząc o tym) są oni w istocie bardziej burżujami niż katolikami; że bardziej przejęli się dziedzicstwem ostatniego wieku aniżeli dziedzictwem 20 wieków chrześcijaństwa i że w ich zrozumeniu chrześcijaństwo — to nie tyle jego autentyczne źródła, ile te formy zewnętrzne życia, w których w ciągu ostatniego wieku żyli chrześcijanie. Nota bene kapitalistyczna struktura życia społecznego, która dziś jeszcze tak silnie ciąży na pojęciach niektórych katolików, stała się nie do pogodzenia z duchem chrześcijaństwa. A przecież nie można nawet porównać bądź co bądź twórczego kapitalizmu sprzed 100 lat z jego dzisiejszymi formami, w których ujawniły się w pełni wszystkie sprzeczności tego systemu i jego rola hamująca rozwój człowieka.

Mówiąc jednak krytycznie o tych katolikach, którzy tkwią w pojęciach zeszłego wieku i którzy wzbraniają się poddać je rewizji, nie można za pominięcie o wręcz odwrotnych tendencjach, zyskujących coraz więcej zwolenników w społeczeństwie katolickim.

Dla wielu ludzi wydaje się nawet dziwnym i zastanawiającym fakt, że podczas gdy wszystkie najbardziej rzekomo „radikalne i postępowe” kierunki działające w świecie mieszczańskim rozkładają się i ujawniają swe nieraz zamaskowane oblicze przeciwne postępowi — to równocześnie coraz liczniejsi stają się katolicy, którzy mimo uwarunkowań przeszłości są zdolni nie tylko przeniknąć i zrozumieć wspólczesne procesy historyczne, ale również znaleźć drogi działania zgodnego z przebiegiem tych procesów. Ten fakt może dziwić jedynie tych, którzy nie znają istoty katolicyzmu i którzy zapominają, że kapitalistyczny, stworzony przez mieszczaństwo porządek trwa zaledwie półtora wieku, a chrześcijaństwo żyje już blisko dwa tysiące lat.

Wszelako ten proces rewizji poglądów i przecinania akcydentalnych i nieistotnych związków z formami cywilizacyjnymi i pojęciami minionej epoki nie przebiega automatycznie. Towarzyszy mu ogromny wysiłek świadomości, wysiłek, który na różnych szczeblach podejmuje na równi z każdym współczesnym człowiekiem każdy katolik. Zarówno katolik jak niekatolik stoją przed pewnymi faktami społecznymi i jeden i drugi muszą te fakty wyjaśnić, wyciągnąć z nich konsekwencje i obrąć wobec nich i wobec przyszłości określoną postawę praktyczną. Byłoby absurdem z góry twierdzić, że nie dojdą oni do tych samych wniosków, dlatego że jeden jest wierzący, a drugi nie. Przeciwnie, wydaje się rzeczą pewną, że jeśli ich trud poznawczy będzie rzetelny, jeśli nie będą uprzedzać się apriorycznymi założeniami, to na tej płaszczyźnie empirycznej, historycznie sprawdzalnej ich wysiłki muszą doprowadzić do podobnych rezultatów, jakkolwiek w pojęciu każdego z nich odmienna może być motywacja i odmienny ostateczny cel działania ludzkiego.

Jeżeli zatem z jednej strony stwierdzamy ściśle wzajemne uzależnienie procesów duchowych i materialnych i jeżeli z drugiej strony współczesne materialne warunki życia społecznego oddziałują w jednaki sposób na katolików i niekatolików — wypływa stąd nieuchronny wniosek, że myśl katolicka, jeśli ma pozostać twórczą i żywą, nie może rozwijać się na

marginesie życia narodu — nie może pozostawać, ani co gorsza dążyć do odosobnienia i izolacji.

Wysiłek świadomości, który towarzyszy dokonywającej się rewolucji, jest dziś najistotniejszym wkładem żywych i twórczych kulturalnie sił narodu. A kryterium oceny wartości tych sił jest ich zgodność z historycznymi procesami rozwoju. W tym trudzie biorą udział ludzie różnych światopoglądów, a działanie ich w płaszczyźnie historycznych, aktualnych zadań jest zgodne.

W świetle tych uwag rysuje się sens ufundowanej przez PAX i przyznawanej rokrocznie nagrody im. Pietrzaka. Nie jest nim tendencja do jakiegoś wyodrębnienia czy przeciwstawienia reszcie dorobku kulturalnego tej jego części, która tworzona jest przez katolickich twórców, lecz przeciwnie, sensem tej nagrody jest podkreślenie zgodności w zasadniczej intencji wspólnego wysiłku kierującego twórczość ku przyszłości, ku rozwojowi. Na tym zaś polu szczególnie katolików czekają ogromne zadania na skutek wielu zaniedbań przeszłości. Od nich właśnie historia wymaga specjalnego wysiłku świadomości, który objąłby wszystkich, ale który musi być pobudzany i organizowany przede wszystkim przez ludzi nauki i sztuki.

Zawsze istotnym kryterium oceny działalności kulturalnej i warunkiem trwałości wytworów kultury była w ostatecznym rachunku użyteczność tej działalności dla człowieka — dla jak największej liczby ludzi. Dziś jednak, gdy ogół ludzi dorasta i dojrzewa — problem użyteczności twórczych osiągnięć jednostek wysuwa się ze szczególną ostrością. Nie idzie tu rzecz jasna o jakąś użyteczność doraźną i czysto praktyczną, ale o to, by twórczość rzeczywiście służyła człowiekowi, dawała mu nowe narzędzia poznawcze, rozszerzała jego świadomość, by ułatwiała mu życie w określonych warunkach historycznych, by wreszcie dynamizowała jego siły.

Takie właśnie osiągnięcia twórcze w różnych dziedzinach życia wyróżniała i będzie wyróżniać nagroda PAXu, przy czym ideologiczny sens tej nagrody precyzuje się coraz bardziej, w miarę jak życie coraz natężniej domaga się wprężenia wszystkich twórczych sił w służbę człowieka działającego w socjalistycznym świecie — w służbie jego wzlotom i trudnościom.

Pisząc o tych sprawach w momencie, gdy niewielki okres czasu dzieli nas od obrad jury nad przyznaniem następnej, szóstej z kolei nagrody, nie podobna pominąć milczeniem jednej jeszcze niezmiernie ważnej sprawy.

Nagrody literackie i naukowe były przyznawane i dawniej. A jednak znaczenie tego aktu wyróżnienia jest dziś całkowicie inne. Nie jest to tylko osąd twórczości dokonany przez powołanych do tego fachowców, lecz pełen wymowy fakt o szerokim znaczeniu społecznym. Z chwilą gdy twórczość naukowa czy literacka staje się w najpełniejszym znaczeniu służbą intelektualną i moralnym potrzebom awansujących mas społeczeństwa, wówczas i osąd tej twórczości musi być dokonany w imię tegoż społeczeństwa. Nie wartościuje się więc według jakiegoś oderwanego kryterium poziomu sądzonych dzieł. Nagroda nie jest egzaminem sprawności i doskonałości, ale probierzem

funkcji społecznej twórczych wysiłków.

Ustami jury wypowiada się więc cała społeczność tych katolików, którzy przyjęli twórczą postawę wobec życia i jego nowych rodzących się form. Wielkie perspektywy, jakie stoją przed kulturą przyszłości, tkwią w ścisłym powiązaniu ze spłotem wzajemnych zależności twórcy i odbiorcy — dzieła i jego rezonansu społecznego. Nie idzie tu tylko o jednostronne oddziaływanie. Problem upowszechnienia dostępu do dóbr kulturalnych, to bynajmniej nie wyłącznie danie szerszym rzeszom społeczeństwa gotowych wytworów kultury. Istotniejszym procesem przebiegającym dziś w nieznanym dotąd natężeniu jest twórcza aktywizacja tych rzesz. Z biernego odbiorcy przekształcają się one w instancję wartościującą współczesną twórczość, konfrontując ją ze swoimi doświadczeniami, z oceną potrzeb społecznych oraz przez to wpływając realnie na przebieg procesów kulturowych.

Jury, w skład którego wchodzi przedstawiciele różnych środowisk katolickich i różnych odcinków działalności, jest jedną z form społecznej oddziaływania na przebiegi i kierunki współczesnej twórczości katolików. Zrozumiałe jest więc zainteresowanie opinii katolików, w której imieniu powzięta zostanie decyzja.

Za parę tygodni spora już lista odznaczonych nagrodą im. Pietrzaka powiększy się o nowe nazwiska wybrane spośród naukowców, literatów i publicystów, co stanie się nowym bodźcem aktywizacji twórczej katolików polskich.

Jakkolwiek ten twórczy nurt może poszczycić się niewątpliwymi osiągnięciami dokonanymi w ciągu lat powojennych, daleko jeszcze do tego, aby wszystkie siły twórcze ujawniły się i działały zgodnie z historycznymi procesami rozwoju. Obserwujemy stopniowy uwiąd tych wszystkich

usiłowań, które pragnęłyby zamknąć się w kręgu jakiegoś wyizolowanego świata wartości duchowych i niezależnie tak pojętą kulturę duchową od konkretnych warunków życia narodu. Los tych tendencji jest przesądzony, tak jak przesądzony jest los emigracji, gdzie najbardziej nawet utalentowani ludzie całkowicie wygasają twórczo.

Te zjawiska, choć smutne i godne największego ubolewania, dają przynajmniej tę korzyść, że przekonują wszystkich o absurdalności i społecznej szkodliwości podobnych postaw.

Religia daje (ściślej mówiąc dawać powinna) potężne bodźce, daje inspirację, która wiedzie człowieka ku twórczemu rozwojowi.

Jednak kultura jest sferą doczesnej działalności człowieka. Jest to ustawiczne przekształcanie i „uprawianie” tego tworzywa, które człowiek zastaje na ziemi w postaci przyrody i świata wytworów człowieka. Oto przedmiot wszystkich działań kulturowych, które, jeśli mają być skuteczne i zapładniające, muszą tkwić silnie w historii, w aktualnych warunkach życia społecznego.

Człowiek wierzący — w religii szuka sił mobilizujących do działania i podstawowych norm etycznych, nie zaś konkretnych dyrektyw. Pomieszczenie pojęć w tej dziedzinie jest równie szkodliwe dla religii, jak dla procesów kulturowych.

Nagroda im. Pietrzaka jest przejawem tych tendencji i zwraca uwagę oraz wyróżnia te osiągnięcia naukowe czy artystyczne, w których najpełniej przejawia się wysiłek w kierunku związania myśli katolickiej z współczesnym życiem. Nagroda ta musi więc corocznie być wydarzeniem największej wagi dla tych wszystkich, którzy kultury nie traktują jako sumę dorobku przeszłości, ale jako żywy, ciągły odnawiający się proces. Dla tych katolików, niezależnie od pewnych różnic w poglądach i niezależnie od przynależności do środowisk katolickich, nagroda ta musi być afirmacją twórczych sił płynących z katolicyzmu.

Krystyna KONARSKA — ŁOSIOWA

ŁZY ŚW. WAWRZYŃCA

Rankiem pełnym obłoków i skrzydeł aniołów,
Jak rybak z pustą siecią wypływam na połów.

Dzień ręce moje pracą, a twarz słońcem złoci,
Sercu wzruszeń przydając i wszelkiej mądrości.

Nocą — mych niespokojnych myśli płyną śladem
Łzy świętego Wawrzyńca — spadające gwiazdy.

SOSNY

Podnieś Krzysztofie ostrzyżoną głowę
i popatrz jak kołują z wiatrem sosen czuby
jak wyspy tajemnicze — nie dgonisz słowem
w tych szumach i zwrotkach wzrok i myśl zagubisz.

Kołują panie wyniośle pośród chmur zamętu
złotej kory spłoszony szelest do nich przywarł
są jak maszty wysnionych przez ciebie okrętów
Patrz w górę — czujesz? ziemia spod nóg nam odpływa.

TYLKO TYLE

Kot na oknie u szewca,
a ja stoję na deszczu,
asfalt błyszczy jak rzeka,
jest wieczór.

Właśnie, właśnie nadchodzi
wieczór — nie ty, mój miły —
z ciemnych wieżyc kościelnych,
gdzie się ptaki uspiły.

Głaszczę kota przez szybę,
chmury są całkiem niskie,
miasto, jak kot pod ręką
jest pełne iskier.

Miasto trzaska i pryska,
miasto zgrzyta i szumi,
mokra szyba, kot, wieczór,
— nic dziś więcej nie umiem.

Juliusz DOMAŃSKI

„Chrystus Pan i Sokrates”

WYDANA w ostatnich dniach nakładem Paxu książka dominikanina O. Th. Demana „Chrystus Pan i Sokrates” jest pozycją wśród katolickich wydawnictw polskich oryginalną i ciekawą. Zasługuje ona na omówienie z różnych względów, przede wszystkim dlatego, że tematyka jej jest niezwykle, można by rzec nieoczekiwana. Niemiejsze uwagi, nie będące bynajmniej wyczerpującą recenzją, mają na celu zarówno ukazanie historycznego kontekstu, jaki genezę tej książki tłumaczy, jak i ocenę jej wartości na gruncie katolicyzmu polskiego.

Zestawianie i porównywanie postaci historycznych jako temat pracy naukowej — czy esyju stosowane jest dość często. Teoretycznie rzecz biorąc, porównywać można dowolnie obrane postaci, w praktyce jednak kierujemy się zawsze pewnymi danymi, które nasze porównanie z punktu widzenia logicznej poprawności nie tylko usprawiedliwiają, ale je także w sposób wyraźny sugerują. Nie muszą tu wchodzić w grę jedynie oczywiste podobieństwa między zestawianymi postaciami. Możliwość jest znacznie więcej: można zestawiać także osoby najbardziej do siebie niepodobne, ale działające w analogicznych sytuacjach czy też żyjące w tej samej epoce lub dwóch różnych epokach pod jakimś względem do siebie podobnych. Najczęściej jednak porównaniom takim podlegają ludzie należący do tej samej, jeśli się tak można wyrazić, „kategorii zawodowej”. Już choćby Plutarch może nam pokazać, jak zo stawiać ludzi o tak różnych cechach jak Demostenes i Cycero — na tej tylko podstawie, że obaj byli mówcami i czynnymi politykami, choć właśnie jako mówcy i jako politycy wielce się różnili od siebie.

Chrystus Pan i Sokrates należą niewątpliwie pod pewnym względem do jakiejś wspólnej kategorii, której zresztą dość trudno byłoby nadać określoną nazwę, bo ani filozofia, ani religia, pojmowane ściśle, nie obejmują działalności jednej i drugiej postaci. Trudno Chrystusa nazwać filozofem, równie jak Sokratesa reformatorem religijnym. Mimo to jednak obie wymienione dziedziny mają niewątpliwie jeden punkt wspólny, który nas upoważnia do zestawienia tych postaci. Jest nim rozległa dziedzina etyki. I jakkolwiek byliby różnice między świecką etyką filozofa a wyznaczoną dogmatami wiary etyką religijną, zawsze zachodzić będzie między nimi to podobieństwo, że obejmują pewną, choćby minimalną, ilość tych samych zagadnień, niezależnie od rozwiązań, jakie usiłują znaleźć.

Ale poza tym istnieją niewątpliwie pewne fakty, przypadkowe i zewnętrzne, które zestawienie „Chrystus Pan i Sokrates”, przynajmniej w pierwszej reakcji umysłu, jaka następuje po ich uświadomieniu, bardzo sugestywnie narzucają. Oto zarówno Sokrates, jak i Chrystus żyli i działali w sposób szczególny, niezrozumiały dla ich otoczenia; obaj głosili idee niezwykle, przerastające zdolność rozumienia współczesnych im ludzi; obaj ponieśli śmierć, którą możemy również w wypadku Sokratesa określić jako „męczeństwo za prawdę”. Ani Chrystus, ani Sokrates nie spisali swych nauk; w jednym i drugim wypadku uczynili to uczniowie bez wyraźnego nakazu ze strony mistrzów. I gdyby się chciało jeszcze między tymi uczniami upatrywać analogie, można by widzieć między ewangelistami i św. Pawłem pod względem sposobu, w jaki przekazali naukę swego Mistrza, podobny stosunek, jak między Ksenofontem (i innymi sokratykami) z jednej a Platonem z drugiej strony.

Ta garść podobieństw, do których zresztą łatwo by było dodać inne, nie usprawiedliwiłaby jednak w żadnej mierze dopatrywania się między wymienionymi faktami jakichś związków istotnych. Nie mogą nam one zasugerować nic ponad stwierdzenie przypadkowej zbieżności, której wartość jest rzeczą bardzo subiektywną i która w żadnym wypadku nie będzie zdolna wyrugować z naszej świadomości poczucia, że mimo tych zewnętrznych analogii nie podobna stawiać Sokratesa i Chrystusa na jednej płaszczyźnie. Trudno więc komplikować się jeszcze, gdy się problem rozpatruje ściśle z punktu widzenia ortodoksji chrześcijańskiej. Jeśli między postacią i działalnością Chrystusa Człowieka a postacią i działalnością Sokratesa istnieją zasadnicze, oczywiste różnice tak wielkie, jak mogą być tylko między ludźmi należącymi do dwu odmiennych epok i kultur, to cóż powiedzieć, jeśli się wie, że w Chrystusie działają dwie natury — Boża i ludzka — powiązane tak dalece jednością Boskiej Osoby Chrystusa, że ich oddzielenie od siebie nie podobna. Co więcej, trzeba stałe pamiętać, że Sokrates żył jak każdy z nas, spełniając swym życiem zadania ludzkie, wyznaczone wolną wolą człowieka i zewnętrznymi warunkami, w jakich ta wola działała: Jezus Chrystus stał się człowiekiem dla celu ściśle określonego, dla wykonania planów Bożych stojących poza dziedziną woli ludzkiej i przekraczających jej możliwości, a życie Jego i działalność były bez reszty tym wielkim planom Bożym poddane. — Wydaje się, że w ramach chrześcijańskiej ortodoksji zestawienie tych postaci jest co najmniej niepoprawne i wylamuje się nawet spod zadań porównań zmierzających do wykazania

istotnych różnic między porównywanymi postaciami.

A jednak stało się ono faktem historycznym. Już w zaraniu chrześcijaństwa podjęto je dla celów apologetycznych zestawiając to co było najlepsze w świecie pogańskim z Chrystusem, by wykazać, jak bardzo górują idee chrześcijańskie nawet nad Sokratesem. Jeśli wybrano dla zestawienia z Chrystusem właśnie Sokratesa, to stało się to nie tylko dlatego, że Sokrates uchodził za mędrca o nienagannym życiu i za bliskiego chrześcijaństwu moralistę, ale również dlatego, że garść wymienionych wyżej faktów, stanowiących analogie zewnętrzne i nieistotne, wybór niejako narzuciła. Jest to zjawisko dostatecznie zrozumiałe na tle właściwych apologetyce starożytności porównań świata pogańskiego z chrześcijaństwem, zwłaszcza że św. Justyn, spod którego pióra wyszło to pierwsze porównanie, jest ex-platonikiem, którego tradycja sokratyczna jest równie dobrze znana i bliska jak Ewangelie.

Raz dokonane, porównanie Sokratesa i Chrystusa podejmowane było w następnych wiekach wielokrotnie. Można powiedzieć, że temat ten pasjonował starożytności pisańską. W ich przekonaniu stawiane obok Chrystusa Sokratesa nie ubliżało Chrystusowi, tak wysoko cenili ateńskiego mędrca. Tylko nieliczni, jak Tertulian i Laktancjusz, uważali porównanie to za pewnego rodzaju bluźnierstwo, dążąc zresztą wyraźnie do zdeprecjonowania Sokratesa. Na ogół jednak Sokrates uchodził za wzór mędrca tak doskonały, że mógł go przewyższyć tylko Chrystus. — Po chrześcijańskiej starożytności podejmuje porównanie dopiero wiek XVIII. Racjonalści francuscy zmierzają jednak w zupełnie przeciwnym kierunku niż apologety starożytności. Intencją ich jest sprowadzenie Chrystusa do rozmiarów czysto ludzkich. Porównują z Sokratesem nie Chrystusa — Boga i Człowieka, ale Chrystusa ujętego jedynie w aspekcie ludzkim z pominięciem wszelkich cech boskich. Postawa Jana Jakuba Rousseau usiłującego pomniejszać Sokratesa na korzyść Chrystusa jest na tle tamtej epoki anachronizmem. Ogólna, powszechna tendencja była odwrotna. I jak św. Justyn dał początek owej „synkrisi” starożytności, tak racjonalści francuscy XVIII wieku wytyczyli drogę liberalnej egzegetyce protestanckiej, dla której porównanie to stało się w w. XIX ulubionym tematem.

Te fakty historyczne tłumaczą nam genezę książki Demana i usprawiedliwiają jej niepokojącą tematykę. Rozumiemy, że problem „Chrystus Pan i Sokrates”, który w zasadzie nie następcza poważniejszych trudności, w pewnych środowiskach zachodniej Europy, gdzie wpływy protestanckie działają silniej niż u nas, może być stawiany niewłaściwie i fałszywie rozwiązywany. Dotyczy to nie tylko środowisk protestanckich, ale i katolickich we Francji, gdzie tradycje racjonalistów wieku XVIII działają niewątpliwie silniej niż gdzie indziej.

Te okoliczności usprawiedliwiają tematykę książki Demana podkreślił dyskretnie ks. Eugeniusz Dąbrowski w przedmowie do polskiego wydania:

„...Wydaje mi się, że (książka Demana) jest końcowym etapem dyskusji trwającej zbyt długo, a wszczętej z dużym lekceważeniem prawa proporcji obowiązującego w każdym badaniu historycznym. Dla egzegetyki liberalnej spod patronatu A. Harnacka Chrystus Pan był mędrcom, do którego porównywać można innego mędrca. Ewangelie mówią niezawodnie o Chrystusie-Mędrce, ale mówią one również o Chrystusie-Wyślaniku Boga, Proroku, Mesjaszu

i wreszcie o Chrystusie-Bogu. Stawia to tak wielką dysproporcję wszelkich porównań, że sam temat stawia pod znakiem zapytania. I te różnice Deman umiał uwypuklić w sposób przekonujący, nie pomniejszający by najmniej Sokratesa, tylko samo porównanie sprzeczący do właściwych rozmiarów” (str. XIX).

Toteż uznając za wyjaśnione i usprawiedliwione samo zestawienie Chrystusa Pana z Sokratesem spróbujmy ocenić rozumowanie i wnioski Demana oraz określić ich wartość niezależnie od tego, że stanowią one odpowiedź na błędne rozwiązywanie omawianego problemu.

TREŚĆ książki Demana ułożona jest według pewnych kryteriów oryginalnych zagadnień uwidoczniwionych w samych tytułach rozdziałów. Zaczyna się dokładnym omówieniem porównania Sokratesa z Chrystusem od strony historycznej i merytorycznej. Autor zdaje sobie sprawę, że temat jego książki „nie jest pozbawiony niebezpieczeństw”, że „między Sokratesem a Jezusem istnieją przede wszystkim różnice”. „Ale — pisze dalej — porównanie należyce pojęte nie polega na sprowadzeniu dwóch oryginalnych postaci do jednakowej miary. Jest ono tylko drogą ku zrozumieniu ich odrębności!” I choć między porównywanymi postaciami istnieją przede wszystkim różnice, to jednak „ważniejsze badanie odkrywa wkrótce zachodzące między nimi analogie”. W dużej mierze zresztą usprawiedliwia tematykę książki fakt, że porównanie to było w przeszłości wielokrotnie podejmowane. Omówiwszy dokładnie tego dzieje przechodzi Deman do źródeł, z których czerpiemy historyczne dane dotyczące porównywanych postaci.

W analizie ich zwracają uwagę dwie tezy zasadnicze: 1) Ewangelie jako dzieła historyczne mają bezsporną wyższość nad pismami sokratycznymi. 2) Wartość relacji Platona dla poznania Sokratesa należy ocenić pozytywnie. Dla Demana pisma Platona nie stanowią wprawdzie dokumentów w ścisłym słowa tego znaczeniu historycznych, ale są w pewnej mierze cenniejsze przez to, że nie notują suchych faktów, lecz dają interpretację osoby Sokratesa, interpretację wprawdzie subiektywną, ale cenną. Toteż konieczność poznawania Sokratesa poprzez Platona jest dla nas według Demana koniecznością szczęśliwą.

Myśl ta dotycząca w pewnej mierze i Ewangelii (które także nie są „bezosobową kroniką poczynań Jezusa”, lecz dają interpretację Jego osoby) powtarza się jeszcze na początku trzeciego rozdziału, stanowiąc przejście do rozważań na temat sposobu życia Sokratesa i Chrystusa. Obaj spełniali swym życiem zadania niezwykle i dlatego autor przez liczne zestawienia i omówienia zmierza do wykazania istotnej różnicy między Sokratesem i Chrystusem w zakresie ich „posłannictwa”. W następnym rozdziale zajmie się świadectwami potwierdzającymi to posłannictwo, dając formę i treść nauki Sokratesa i Chrystusa i przedstawiając w wierszu ich misji oraz „sekretem Sokratesa” i „tajemnicą Jezusa”, zbierając — jak wszędzie — drobniuzgowo wszelkie (pozone) podobieństwa w celu wykazania istotnych różnic. Rozdział dziewiąty „Kult Jezusa”, podobnie jak jedenasty („Kościół Jezusa”) i dwunasty („Pamięć Jezusa”) zawiera niewiele materiału porównawczego, natomiast istota zagadnienia pomieszczona została w rozdziale dziesiątym „Pamięć u potomnych”, znakomitym szkicu syntetycznym, charakterystycznym wnikliwie i trafnie wpływ myśli Sokratesa i idei chrześcijańskiej na kulturę europejską aż po dzień dzisiejszy. Książka kończy się takim wnioskiem:

„Sokrates ukazuje się nam jako jedno z najdoskonalszych osiągnięć, do jakich świat może być zdolny. Ale Jezus ostatecznie nie jest ze świata. Góruje nad nim jedynie dlatego, że jest gdzie indziej. Porównanie między Sokratesem a Jezusem było możliwe dlatego, że Jezus z naszym światem się zetknął. Ale musiało ono zakończyć się stwierdzeniem nieusuwalnej różnicy. Nie umniejszaliśmy Sokratesa w tym celu, aby zapewnić sobie przyjemność łatwego zwycięstwa. W dalszym ciągu jesteśmy wrażliwi na jego piękno i wzruszeni jego wielkością. Ale, jak powiedział Platon, jest on tylko najlepszym z ludzi. Nie możemy uważać, że różnice zachodzące między nim a Jezusem wypływają jedynie z różnicy środowisk i uzdolnień. U Jezusa odznaczają się one pięknoscią i wielkością przewyższającymi Sokratesa. Czyż wielokrotnie nie byliśmy zmuszeni do tego wyznania? I wydaje nam się, że dobrą stroną tego porównania, któreśmy z całą lojalnością doprowadzili aż do tego punktu, jest to, że uwypukliło nam różnicę, przede wszystkim, że możemy ją należycie wyrazić jedynie uciekając się do określeń katolickiego dogmatu: między Sokratesem a Jezusem — powiemy — zachodzi ta różnica, jaka najdoskonalszą osobę ludzką dzieli od osoby Syna Bożego, który stał się człowiekiem”.

KRYTYCZNA ocena książki Demana jest rzeczą trudną. Zaznaczone powyżej precedensy historyczne i specyficzna sytuacja w ujmowaniu zagadnienia „Chrystus a Sokrates” w pewnych kołach myślicielach zachodniej Europy przesądzają wprawdzie odpowiedź na pytanie, czy problem omawiany w książce nie jest problemem pozornym, ale sam sposób ujęcia tego problemu ludźmi może pewne zastrzeżenia. Można by powiedzieć, że wskutek zbyt silnego podkreślenia trzeciorzędnych szczegółów gubi się nieraz wiele cennych myśli; niektóre, jak np. sprawa Sokratesowego „daimonion”, wypadają wręcz niejasno. Zarzut ten jednak bynajmniej nie przesądza o wartości książki. Można i należy ukazać jej pewne aspekty, które potwierdzą jej walory; nie naruszone w żadnej mierze wspomnianymi uchybieniami.

Jest ich wiele. Zwracałem już uwagę na pewne oryginalne oświetlenie problemu wartości pism Platona i wykorzystanie go dla podkreślenia historyczności Ewangelii. Z prawdziwą satysfakcją czyta się te strony, na których Deman umiał ukazać historyczne walory Ewangelii, wyraźnie objawiające się na tle pism sokratycznych. Tego rodzaju szczegółów, najczęściej znanych i stwierdzonych, a jednak dzięki porównaniu ukazanych w nowej, bardziej wyrazistej postaci, jest w książce Demana tyle, że wszystkich cytować tu nie podobna.

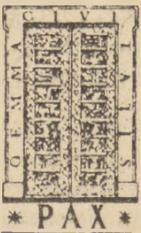
Czy to będą rozważania na temat osobowego pojęcia Boga w doktrynie chrześcijańskiej, podjęte w związku ze spirytualizmem Platona, czy na temat stosunku do Jezusa Jego otoczenia, wypowiedź je zawsze Deman w sposób ciekawy, oryginalny, powtarzając nawet utarte twierdzenia w formie odbiegającej od szablonu. A na wstępie i tam, gdzie zastanawia się on nad szczegółami dla porównania mającymi znaczenie nieistotne, umie je użytkować, wypowiedzieć wiele ciekawych uwag interpretujących działalność i naukę Chrystusa zgodnie z zadaniem, które sobie postawił na początku, a które miało na celu lepsze zrozumienie, przez porównanie z Sokratesem, czynów i nauki Chrystusa Pana.

W ogóle trzeba stwierdzić, że — obiektywnie rzecz biorąc — książka Demana jest cenna nie tyle ze

* Th. Deman O. P., Chrystus Pan i Sokrates. Z oryginału francuskiego przetłumaczyła Zofia Stanowiewska-Morstinowa. Słowo wstępne napisał ks. prof. E. Dąbrowski. Warszawa, Pax, 1953. Str. XX + 233.

NOWOŚĆ

NOWOŚĆ



PÄR LAGERKVIST

BARABASZ

Przekład z jez. francuskiego Z. Milewskiej porównany z oryginałem szwedzkim

Słowo wstępne napisał ks.

prof. E. Dąbrowski

Oprawa płócienna

Cena zł. 18.—

Wysłał Biuro Sprzedaży „PAX” Warszawa Mokotowska 43, za zaliczeniem pocztowym lub po wpłacie na konto PKO nr I-8515 z dodaniem zł. 3.— na koszt przesyłki.

względem na omówienie i rozwiązanie generalnego zagadnienia, którego doniosłość, jak już zaznaczyłem wyżej, jest rzeczą bardzo subiektywnej oceny, ile ze względu na owe, może nieco marginesowe uwagi, które autor wypowiada z okazji omawiania go problemu, a które zdradzają i wytrawnego znawcę, i znakomitego pisarza. Toteż jeśli książka Demana ma do spełnienia podwójne zadanie: jedno, by na właściwej płaszczyźnie postawić zagadnienie „Chrystus a Sokrates” i dać słuszne rozwiązanie w odpowiedzi na fałszywe poglądy w tej sprawie, jakie wiek XVIII po zostawił następnym stuleciom, drugie, by to porównanie stało się podstawą do lepszego zrozumienia doniosłości misji Chrystusa i istoty doktryny chrześcijańskiej, to choćbyśmy nawet zakwestionowali ważność pierwszego zadania na gruncie katolicyzmu polskiego, drugie ma znaczenie pierwszorzędne i na nie trzeba położyć nacisk przy ocenie wartości polskiego wydania tej książki. Nie musimy ona wcale dowodzić istotnych różnic między Sokratesem a Chrystusem. Wystarczyłoby, gajony w sposób bardziej dyskretny niż to uczynił autor, różnice te uświadomiła. Ale chętnie poddamy się sugestii trafnych wypowiedzi dotyczących zagadnień, które dla chrześcijanina mają znaczenie pierwszorzędne.

ZRESZTA jeśli idzie o Sokratesa, to pomijając budzącą liczne zastrzeżenia interpretację „daimonion”, trzeba przyznać, że książka zawiera wiele myśli, które współczesnemu katolikowi mogą ułatwić właściwe spojrzenie nie tylko na ateistycznego mędrca, ale i na wszelkie powstałe poza obrębem chrześcijaństwa dobra kulturalne. Szczególnie cenny jest tu wspomniany rozdział dziesiąty, w którym Deman omawia wpływ myśli Sokratesowej w chrześcijaństwie.

„Bardzo wczesnie — pisze — dziecięstwo Jezusowe połączyło się z tym, co było najlepsze w spuściźnie Sokratesa, i często obie te nauki szerzyły się razem... To skojarzenie jest jednym z najbardziej znamienitych objawów naukowujących się obserwacji historyka. Może się wydawać dziwne, że chrześcijanie nie poprzestali na Ewangelię. Cóż jest u Sokratesie, czego by nie było u Jezusa?... Wydało się, że Jezus powinien wystarczyć tym, którzy Go znaleźli. Czyż Piotr i Jan szukali innych mistrzów?... Ale kwestii nie można stawiać w ten sposób. Najbardziej nawet „sokratyzm” chrześcijanin, jeśli jest prawdziwym chrześcijaninem, nie myśli o wzbogaceniu dziedzictwa, jakie otrzywał od Jezusa. Nic nie przewyższa kazania na górze, nie nie przewyższa śmieci na krzyżu. Nie ma takiej ludzkiej doskonałości, która by mogła coś przydać Synowi Bożemu. Ale gdy chodzi o to, by lepiej się rozczepić w dziedzictwie chrześcijańskim, by je pobudzić do lepszego owocowania, pomoc Sokratesa nie jest bez znaczenia”. (Str. 192 ns.).

Pomoc Sokratesa istotnie nie jest bez znaczenia. Świadomi wielkości dzieła Chrystusa Pana, której nie przeciągnąć nie może, nie poznajemy wartości nauk mędrca ateistycznego. Rola, jaką odegrał on w dziejach myśli chrześcijańskiej, nie pozwala nam zapomnieć, że było w nim coś, co nie zgasło nawet w świetle Ewangeli. Umilowanie prawdy, sprawiedliwości, piękna — to cechy, które zawsze budzą podziw i szacunek. Rozumiemy, że tęsknota za prawdą może znaleźć pełne zaspokojenie tylko w Chrystusie. Sokrates wzbudza w nas wiarę w człowieka; ukazuje nam, do czego człowiek jest zdolny. A jednocześnie, gdy idziemy za myślą Demana, zyskujemy przeświadczenie niezłomne i prawdziwe, że to przyrodzone wartości człowieka, które dostrzegamy w Sokratesie, mają możliwość pełnego rozwoju tylko w kręgu działania Bożej łaski. I w tym sensie książka Demana spełnia zadanie, które autor sformułował jako „pobudzenie dziedzictwa chrześcijańskiego do lepszego owocowania”.

Władysław SEŃKO

SOKRATES

JEST rzeczą zadziwiającą, że Sokrates, który od tyłu wieków nie przestaje być przedmiotem żywych zainteresowań zarówno uczonych, jak i szerokich warstw laików — nie ma chyba nikogo, kto by nie znał przynajmniej anegdot krążących wokół filozofa ateistycznego — jest jednocześnie postacią, o której, jak dotychczas, z historyczną ścisłością niewiele powiedzieć możemy. Przyczyną stanowi tu nie brak historycznych danych, ale w pewnym sensie — co jest nie mniej paradoksalne — ich nadmiar. Sokrates nie pozostawił żadnych pism, wszystkie więc relacje o nim zawdzięczamy tradycji. Nasza znajomość ateistycznego mędrca opiera się na tym, co powiedzieli o nim współcześni. W odczytaniu tej tradycji i w jej właściwym zinterpretowaniu leży właśnie zasadnicza trudność.

Kim był naprawdę Sokrates, skoro ci, co go znali, przedstawiają go w tak różnorodnych barwach i często w tak sprzecznym świetle? Czy był rzeczywiście przewrotnym sofistą i zbrodniarzem, jakim maluje go Arystofanes w „Chmurach”, czy też godnym naśladowania mędrcom, jak chciał Ksenofont, czy wreszcie genialnym filozofem, który odkrył nowy i nieznany nikomu przedtem świat idei, jak przedstawił go Platon? Wokół tego problemu urosła w czasach nowożytnych olbrzymia literatura. Badano skrupulatnie wszystkie starożytne doniesienia o Sokratesie, sprawdzano ich wewnętrzną zgodność, usiłowano wytłumaczyć za chodzące między nimi różnice. W wyniku tych badań uzyskano poszczególne obrazy Sokratesa, kłócące się zresztą ze sobą. Zaczęto mówić nie o Sokratesie w ogóle, ale o Sokratesie Platonskim, Ksenofontowym, a na wet o Sokratesie Arystotelesa. Z postaci historycznej staje się on coraz częściej przedmiotem czysto literackich dociekań i porównań. Odezwały się nawet głosy, jakoby Sokrates filozof nie istniał w ogóle, że został po prostu wymyślony przez Platona i Ksenofonta (por. np. Dupréel, La légende socratique et les sources de Platon, Bruxelles, 1922).

Nie wszystkie badania poszły oczywiście w tak nieoczekiwanym kierunku. Przeciwnie, na skutek wyteżonej pracy badawczej ciągnącej się od dzieł siatków lat mamy dzisiaj więcej niż kiedykolwiek danych na to, aby dotrzeć do historycznego Sokratesa, aby zobaczyć jego postać w pismach Ksenofonta, odczytać jego poglądy w dialogach Platona, w których obok własnych koncepcji Platona i jego nauki o ideach dostrzec można i autentyczny wizerunek Sokratesa. Dzisiaj odczuwa się też potrzebę bardziej syntetycznych opracowań, które potrafiłyby wydobyc z powodzi fałszywych sądów i mniemań, przesadnie krytycznych opracowań, jak i z rzetelnych badań — prawdziwą naukę Sokratesa.

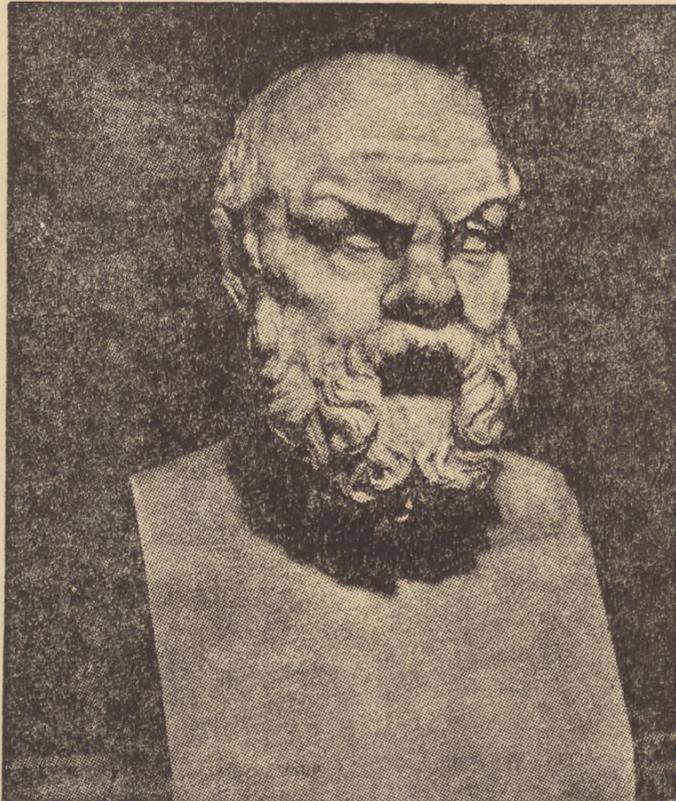
Wpływ Sokratesa na filozofię i naszą kulturę był zbyt silny i pozostał zbyt głęboki ślady, by można było zajmować się jedynie filologicznymi kontrowersjami na jego temat lub też literacką analizą starożytnych dokumentów traktujących o nim. Nauka Sokratesa przedstawia się nam jako dorobek ogólnoludzki, który zbliża do siebie ludzi o różnych postawach intelektualnych i o odrębnych światopoglądach; stawia ona problematykę aktualną i rozumiałą dziś dla ludzi o różnych przekonaniach i postawach życiowych, umożliwia realizację wspólnych zadań wszystkich ludzi, dzięki swemu wysokiemu poziomowi etycznemu podnosząc i pogłębiając moralną świadomość człowieka.

Zastanowimy się chwilę nad poglądami, które można bezsprzecznie przypisać Sokratesowi, nad ich znaczeniem dla historii filozofii i war-

tością praktyczną, jaką z nich dzisiaj możemy wydobyc.

*

ARYSTOTELES przekazał nam w *Metafizyce* (1078 b 9n) wiadomość, że Sokrates nigdy nie głosił nauki o ideach (jest ona własnością Platona) oraz że można mu słusznie przypisać jedynie stosowanie indukcji i tworzenie ogólnych, pojęciowych definicji. To lakoniczne stwierdzenie



Sokrates — popiersie z Villa Albani

podkreśla specyficzną dla Sokratesa metodę dochodzenia prawdy; dodajmy, dla krótkiego scharakteryzowania istoty działalności filozofa, że stosował on ją wyłącznie do dziedziny życia moralnego — do zagadnień etycznych. Sokrates był tym, który, jak powiada Cyzero w „Rozmowach tuskulańskich” (Tusc. 5, 4.10), ścigał filozofię z nieba na ziemię, tzn. przesunął dotychczasowy kierunek filozoficznych zainteresowań z czysto kosmologicznych na dziedzinę bliższą człowiekowi, na teren etyki i moralności.

Sokrates jest twórcą etyki pojętej jako dyscyplina filozoficzna, określającej cel, do którego człowiek dąży, i analizującej warunki jego osiągnięcia. Wprawdzie autorem pierwszych etycznych refleksji był już Heraklit, a głębokością i trafnością swych uwag moralnych zadziwia nas i Demokryt, jednakże dopiero Sokrates podniósł etykę do godności wiedzy i sam w tym zakresie największe położył zasługi.

Istotne dla Sokratesowego rozumienia etyki jest jego ujęcie cnoty jako wiedzy. Każda cnota jest mądrością, a mądrość polega na wiedzy. Wszelka cnota jest równoznaczna z wiedzą i do niej się sprowadza. Do tego, by właściwie postępować, trzeba wiedzieć, jak należy postępować, a ten kto naprawdę wie, jak postępować, będzie to czynił; ten, kto naprawdę wie, co to jest cnota, będzie postępował cnotliwie. Aby właściwie pojąć intencje tej znanej powszechnie formuły Sokratesa: cnota jest wiedzą, trzeba zdać sobie sprawę z tego, co rozumiał on przez samą wiedzę i cnotę.

Cnota (arete) wyraża najogólniej pewną doskonałość; można tłumaczyć ją przez sprawność lub dzielność, odnosząc zarówno do czynności intelektualnych, jak i fizycznych. Cnotę posiada zarówno rzemieślnik, kiedy tworzy doskonałe i piękne przedmioty, jak i żołnierz odznaczający się odwagą i dzielnością. Na czym polega

w istocie sama doskonałość? Sokrates był z zawodu rzeźbiarzem. Jako rzemieślnik widział, że skuteczność jego pracy zależy od posiadanej umiejętności. Doskonałość rzemiosła stolarza, kowala i innych zależy od stopnia posiadanej umiejętności — wiedzy. Domy potrafi budować dobrze tylko ten, kto wie, jak trzeba je wznosić, poprowadzi okręt ten, kto zna zasady sztuki żeglarskiej.

*

SOKRATES był przede wszystkim moralistą, ale poglądy jego rzucały światło nie tylko na dziedzinę etyki, lecz i na wszelkie rozumowe dociekania; głosi on potrzebę szukania ścisłych definicji, uczył metod ich budowania, dążył jednak nie tylko do precyzowania naszych etycznych pojęć, ale wdrażał w ogóle do pojęciowego myślenia i do nabywania umiejętności uświadomionego mądrego. Bezlitośnie chętnie napuszoną zarozumiałość i tępotę tych, którzy postępując się słowami nie zadają sobie trudu uświadomienia sobie ich głębokiej treści. Mowa, która ma być źródłem porozumienia, jednoci między ludźmi, staje się przyczyną zasadniczej rozbieżności. Według Sokratesa jedynie pojęciowe myślenie i uświadamianie sobie istotnego znaczenia używanych nazw daje gwarancję możliwości ponadsubiektywnego rozumienia cudzych i wzajemnego przekazywania innym własnych poglądów.

Sokrates wysuwał na czoło potrzebę rozumnego myślenia, które jest fundamentem życia etycznego. Bezmyślność jest według niego gorszym złem niż świadome czynienie zła — jest to najcięższe przewinienie człowieka, gdyż zamyka drogę do wiedzy, a co za tym idzie, do mądrego, sprawiedliwego i etycznego życia. Człowiek nie tylko może zdobyć wiedzę i zrozumieć otaczającą go rzeczywistość, ale jest obowiązany do samodzielnego wysiłku poznawczego, przede wszystkim zaś do poznania siebie i swoich istotnych potrzeb.

Przekonaniem o możliwości zdobycia rozumowej wiedzy przeciwstawił się Sokrates indywidualizmowi sofistów, którzy każdego człowieka wydawali na pastwę jego osobistych niekomunikatywnych przeżyć podniesionych do znaczenia jedynego kryterium prawdy. Wbrew sofistom, którzy utrzymywali, że istnieją dla każdego człowieka odrębne i specyficzne prawdy i cnoty, że inna musi być cnota dla mężczyzny i chłopca, dla słabego i silnego, dla pana i niewolnika — głosił Sokrates, że istnieje jedna cnota utożsamiająca się z wiedzą i każdy, kto posiada jakąkolwiek cnotę, posiada zarazem wszystkie.

Relatywizm etyczny sofistów miał swe podłoże w relatywizmie i sceptycyzmie poznawczym. Prawda w rzeczywistości nie istnieje, a nawet gdyby istniała, nie moglibyśmy jej poznać ani zdobyć o niej pewnej wiedzy; to, czym dysponujemy, to jedynie nasze wyobrażenia i mniemania, których każdy z nas jest ostatecznym sędzią i miarą. Przeciwnie, stawiając się błędnemu pojęciu cnoty wystał Sokrates jednocześnie przeciw wszelkim konsekwencjom tej indywidualistycznej i sceptycznej postawy. Oceniał on właściwie wszelkie objawy nierówności i niesprawiedliwości etycznej zwalczając poglądy wszystkich Kalliklesów i Trzymachów głoszących moralność panów, moralność zaborczej zachłanności opartej na prawie silniejszego.

Etyce Sokratesa obcy jest duch rezygnacji i intelektualnej gnuśności, chociaż tak zdecydowanie przeciwstawia się wszelkiej apologii źle pojętej siły i mocy. Cechuje ją ufność w możliwości poznawcze rozumu ludzkiego, wiara w naturalne, dobre i piękne skłonności człowieka i wiara w potęgę rozumu ludzkiego. Nie prze-

(Dokończenie na str. 6)

Jan GÓRSKI

Rezydent św. Kazimierza

PRZYTULEK św. Kazimierza w Paryżu, ulokowany przy zacisznej ulicy *de Chevaleret* i zażywający protektoratu księżnej Adamowej Czartoryskiej, wchłaniał w siebie weteranów i biedotę wychodzącą. Prowadziły go zakonnice ze znacznym poświęceniem, gdyż pensjonariusze nie należeli do łatwych. Odpryski waru emigracyjnego, przechowali czas jakiś przynajmniej jego temperaturę i rozsypliwłość.

Norwid osiadł tam w lutym 1877 r. I kto wie, czy nie odetchnął. Stała, choć ubożuchna renta, wykolatała przez skrzętną ludzką życzliwość, zabezpieczała od możnoprzyjacielskich mecenasów. Samotność usatysfakcjonowana przez regulamin i byt zamknięty w łazie zorganizowanej zbiorowości — pozwoliły usunąć kulisy codziennej troski i otworzyć spokojną perspektywę na głąb „życiowej sceny“. Mądrość, artyzm i prostota układają się teraz w Norwidzie, jak w ewangelicznej przypowieści. Jest to przecież okres pracy nad białym wierszem *Kleopatry* i ascetycznie ozdobną prozą *Młodość*, *Stygmatu* oraz innych „paraboli“. Utrwała się teraz rzecz dawniej rzadziej: połażliwy dystans. Jakby wspomnienie gwarych przygód u żeglarskiego, który resztę życia powierzył mniej zawodnemu la domi. Pogoda rozciąga się nad zrozumieniem ważkiej, nieodwracalnej hierarchii świata: „Kmieć, przeważnie bóstwo, utwierdził je na grzbiecie osła — opowiada Norwid w przypowieści wziętej z Ezopa — temu gdy kadzą i kłaniają się, osieł spyszniał i wierzcąc począł. Alie obitym zostaje on przez kmiecia, aby wyjaśnionym okazało się stanowisko Bóstwa, człowieka i zwierzęcia“.

Szlachecki rezydent — przez złościwa igraszkę lesu, zamiast w patrackiej siedzibie, umieszczony w przytulku — miewał coraz częściej chwile wypogodzonych, niejako wieczornych zamyśleń. On, który żałł się na zataczenie słuchu, wyróżniał... atony ciszy nocnej:

...ptaków nocnych słychać powst. Szeżekanie psa nad brzegiem kanału. Wykrzyk daleki jakiegoś wapiłwiec. Uciszenie głębokie... potem szelest nłwieściego trzewika lub flet, który lecz nie dokonał śnieśni... potem jakby niedoścignięty śniećek w powietrzu. Jednego listka na bruku, potem nocna cisza.

Całe swoje obecne bytowanie odmierza regularnymi posługami za konie oprawił Norwid w archaizm maltański kawalerów:

Fatrz! Oto tam i ówdzie mało okatne Wnijdź! Ma się pod wleczeń. Iż na Malcie w zakonu rycerski go

Zabłakateś się... Tu, tam uchylone drzwi ci ukaza Rdzawą na murze szablę albo groźny i smutny profil. O mało nie stul-tni ówdzie maż w konfederacie, jak cła Niedolamanej chęragwi przy narodowym pogrzebie przeszedł mimo i w czasie w długim. Jak niocoś korytarzu.

Tej ostatniej części odwiecznej trylogii życia (młodość, dojrzałość, starość) przewodzi u Norwida klasyczna reguła jedności miejsca. Akcja twórcza ukazująca przekroje tytu kultar — rozgrywa się przy jednej stałej dekoracji: ubogi pokoić wygnańca na *rue de Chevaleret*. Poszczególne akty były już dawniej rzutowane. Na przykład w skoryz-

Heroizm będzie trwał, dopóki praca, Praca, dopóki stworzenie.

Lub gdzie indziej: „nieprzepełnony jeszcze glob sumieniem“. Trójdroże heroizmu, pracy i sumienia zestrzełalo się dla „biegryzma“, który „miał tyle ziemi, ile jej pokrywała jego stopa“ we wnioski surowe wobec „współczesnej cywilizacji“ i „materialnych filozofów“ propagujących „specjalności mechaniczne“. Z heroizmem obcuje Norwid jako wyznawca za pośrednictwem ceremonii uroczystych przenosi i metafor oraz jako mozolny jego realizator w tej „codzienności“, która „ma tyle światła mistycznych i nieodgadnionych“. Cezar, który — w tragedii o Kleopatrze — z piedestału historii wyrażał myśli Norwida, orzekł, że upodobanie się do bogów to „trud niemały właśnie dlatego, że codzienny“. Nie każda epoka wydaje Cezarów. Heroizm zatem jest wieczny, „będzie trwał, dopóki stworzenie“ ale może posiadać lepszą lub gorszą koniunkturę dziejową. Niby po dramatnie Jakubowej zstępuje on z niebios ku ziemi przez legendę, epopeę, historię, anegdotę i rewolucję. Ubywa mu boskości, degradowuje się, aby, prawdopodobnie dzięki rewolucji, znowu wstąpić na sakralne wyżyny. Czyżby więc cykl rozwojowy w spiralach rzutowany, gdzie są nawroty do punktów zbliżonych przestrzennie, ale nie ma powrotu do punktu wyjścia? Odpowiedzi na to nie znajdujemy nawet w ostatnich, tak dojrzałych tekstach Norwidowych. Tragedia o Cezarze i Kleopatrze piastowana aż do śmierci, posługująca się zjawiskiem komety jako znakiem przestankowym między jedną epoką a drugą, ilustruje — w zamianie Cezara przez Antyniusza i w śmierci Kleopatry — przejście od heroizmu do zawadiactwa, od subtylizacji do przewrotności. Ten proces odpowiada najokropniejszej intencjom ostrzeżenia, które poeta zaadresował kiedyś do swoich współczesnych: „Wielkie położenie akcentu na heroizmie, jako składowej sile społeczeństwa jakiego, to ma niebezpie-

czeństwo straszliwe w momentach upadku i w nienadzwyczajnych epokach — heroizm upadły jest zawadiactwo, a dalej grubiaństwo, zajadły ostatni, tak jak znowu cywilizacja nie heroiczna szczególnie, ale wszęch stronna w upadku swym jest subtylizacją, a dalej rafinerią, a dalej przewrotnością“. W tych czasach przecie jeszcze nie zesła z widnokręgu legenda Napoleońska, skurat po Wielkiej Rewolucji i przez Wielką Rewolucję wykłuta, a odnowiona w heroicznych pozach Napoleona III. Norwid w stosunku do niej zach-

kapitalizacji, co poniżyli prace do czynności automatu. Nadmiar teorii i nadmiar praktyki grożą tym samym niebezpieczeństwem: cywilizacją, w której przyspieszenie mechaniczne nie wyrównywa opóźnienia moralnego: „Zaony Diogenes prze-czuwał zbliżanie się epoki wtorej, skoro w księgozbiorze akademii widząc zapracowanych starców pytał, kto by to byli? Ci, co prawdy szukają — odrzeczono. Ach! a kiedyż oni będą mieli czas ją praktykować?“ W innej sferze zbyt szybka przeróbka wartości oderwanych w

„boski“, Te prawdy wykladał Norwid w „paraboliach“, które były obrazowymi formułami procesów wiążących przyrodę z kulturą — w wysiłku, w Heraklesowych procesach oczyszczających — herosa ołw tych światów: człowieka. „Pochopnie lubo najnierozważniej mówi się, że parabola nie dowodzi niczego. Już ci tak jest, bo paraboli zadaniem nie jest dowieść, ale uoczywiścić, jedna zatem parabola oczywistni, lecz wszystkie razem uważane parabole nie tylko, że dowodzą, ale dowodzą tak bardzo ogromnej rzeczy, iż strach święty bierze pomyśleć o tym. Dowodzą one albowiem analogicznego stosunku pomiędzy prawdami rozwoju rzeczy świata tego, a prawdzi- mi rozwoju ducha.

Gdy Norwid od tych widnokręgów zwracał oczy na mialką współczesność, trudno mu było powściągnąć ironię, sojusznickę patetycznych rozczarowań: „Eziachetni panowie i cała społeczeństwo pojmujecie czystość jako zaprzeczenie nieczystości. Odpowiednia doza perfum, gdy staje w przeciwieństwie względem dozy odpowiedniej rozkładowego fetoru, jest dla was czystym oddechem, bo taki już macie nerwów ustrój... Ludzie nie są jeszcze czystei, są dopiero perfumowani.

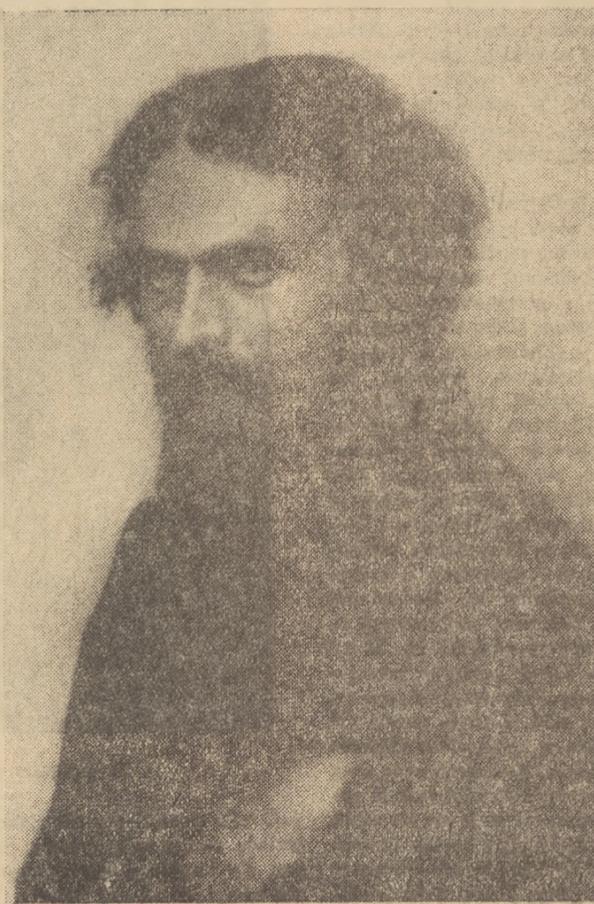
Lata, które przebiegały dystans ostatnich dziesiątków stulecia, przesuwały w opinii krajowej i wychodzącej sprawę „biednego pana Cypriana“ do lamusa rzeczy zblednych. Czasem ktoś spotkał Norwida, obejrzał go niby antykwaryczny zabytek i wspomniął z tej okazji o jego iście Derwidowej wędrowce przez Paryż już wtedy na turalistyczny (E. Geniusz), lub z dydaktyczną wyższością poubolewał nad nim (J. I. Kraszewski): „Niestety, jest to piód wieku, chwili wpływów jakichś czy najdziwniejszej w świecie natury, chorobliwa, nieszczęśliwa istota złożona z jasnych promieni i pasów atramentowej czerności“.

Tymczasem rezydent św. Kazimierza z nieufną zadumą anachorety i roztrępnością miedra patrzył na „dziwowska — wyzysku i pary“. Nieraz przychodził mu na myśl słowianin, płonka starej i świętej puszczy przeszczerpiena na bruk miejski pod nią bo okratowane drutami telegrafów:

Jak słowianin, gdy brak mu naśladowań kogo, Dumą w szerokim polu, czekając na siebla, Gdy zdała jada kupy gdzieś żelazna droga, Drża telegrafy w drutach i balon na niebie, Jak słowianin, co czekał już wzytkiemu w tropy Ozekiea na siebla same o bez wiedzy: Tak bywa smutnym życie... wieszczowie koleczy, Zacił szlachcice, żydy, przekupale i chłopy.

Norwid umarł z 22 na 23 maja 1883 r. Za trumną wyniesioną z przytulku św. Kazimierza podążało, jak głosz relacje, niewiele więcej niż trzydzieści osób. Tym, który zamknął oczy po zgonie, był uczestnik walk powstańczych 1831 r., Michał Zaleski, wierny towarzysz ostatnich chwil przedśmiertnych. Jemu to przypada w udziale kwesta wśród wychodźstwa, aby zwłokom przyjaciela zapewnić grób osobny, miano je bowiem, zgodnie ze zwyczajem zarządu przytulku, pochować w zbiorowej mogile, gdzie chowano z urzędu biedaków i weteranów. Grób został wydzierzawiony tylko na pięć lat. Groziła zatem ekshumacja. Ten przykry ceremoniał uprzedzono 28 listopada 1888 r. dobrowolnymi przenosinami na cmentarz Montmorency. Tu Norwid spoczął we wspólnej mogile. Uczestnikami obrzędu byli Anna i Aleksander Dybowski. Nikt więcej. „Z zaproszonych nikt a nikt nie był“ donosiła Anna Dybowska E. Geniuszowi, który przebywał wtedy w Port-Saidzie.

Jan Górski



Cyprian Kamil Norwid

wał się powściągliwie. Gdy wierz i proza kpiarza Heinego uścielaly palmami drogę Cezarowi pierwszemu, on, z natury swojej zwolennik patosu, nie powstrzymał drwiny, która wybiegala na usta po gwałtownym rozwianiu się wojennej gwiazdy drugiego Cesarstwa: „Wcale do- brze się stało, ozwał się p. Cyprian, że pękł nareszcie Napoleoński „pepek zbawienia świata“, za jaki Francja uważała zbrojne swe posiadnictwo i że się tym sposobem rozzerwała obręcz żelazna nieomylności narodowej, opasująca ciężarną ziemię“.

Nie był więc Norwid z reu polskich bonapartystów, którzy, jak relikwii, czekali najdrobniejszy rekwizyt „wielkiej epopei“. Raczej bluźniercą bezkompromisowym w stylizacji swego bluźnierstwa: „oryz zio- te obok srebrnych“ i raptem „Napoleoński pepek zbawienia świata“! Cóżby na to powiedział „stary subiekt“, Ignacy Rzecki z *Lalki*, bodaj że rówieśnik Norwida?

„Powietrze prawdy“ — to naturalna atmosfera heroizmu. Postacie bogów i ludzi skapanie w owym najczystszyim powietrzu wnoszą się po przez heksametry Homera do tak wszechobecnej boskości, że Grek w każdym przybytku podejrzewał boga czyli zarazem herosa. Prace jednego z nich, Heraklesa, świat oczyszczały. W ogóle praktykowanie heroizmu, ów „trud niemały“, wiodący do źródła prawdy i wszystko, co zawiera się w pojęciu „praca“, stanowi drugie Janusowe oblicze z heroizmem nieodłącznie zrosnięte. Norwid w swych rozmyślniach odręcał na odległość pogardy owych medreów, co przysłonił rzeczywistość kuznem bibliotecznym i owych praktyków

Sokrates

(Dokończymy ze str. 5)

czy temu bynajmniej znane powiedzenie Sokratesa: „Wiem, że nic nie wiem“, które ma jakoby wskazywać, jak się niekiedy słyszy, na to, że Sokrates ulegał sam wpływowi demobilizującego intelektualnie sceptycyzmu. Sokrates był biegłym dyalektykiem i wiedział, że powiedzenie „nie wiem“ jest fałszywe z punktu widzenia logicznego. Tak jak powiedzenie „wiem wszystko“ jest zawsze niezgodne z faktycznym stanem wiedzy u każdego człowieka. Jeżeli prawdą jest, że nie wiem, to prawdą musi być i to, że wiem, że nie wiem, a więc w rezultacie wiem. Sokrates uświadamiał sobie z pewnością tę zależność i posługiwał się tym powiedzeniem nadając mu sens ironizujący, tak znamienny dla prowadzonych przez niego rozmów. Nie jest ono bynajmniej zaprzecze-

nem możliwości poznania i sceptycznej rezygnacją, jak to odczytali później przedstawiciele średniej Akademii. Przeciwnie, Sokrates całym swoim życiem dowodził czegoś innego. Wykazywał bezustannie niedorzeczność stanowiska sofistów zwalczając ich sceptycyzm i dzięki swojej nauce o pojęciowej wiedzy etycznej — wszelką postawę agnostycyzmu.

Zadaniem tych uwag nie jest wyczerpanie bogatej treści nauki Sokratesa. Jest nim raczej zwrócenie uwagi na charakterystyczne momenty jego etyki, która uczyć nas może prawdziwego szacunku wobec cudzych poglądów i zachęcać do pogłębiania naszej wiedzy o tym, co dobre i piękne, i na aktualność postaci Sokratesa, któremu zbyt mało poświęca się u nas uwagi.

Władysław Senko

Sławomir BŁAUT

Książka piękna i mądra

NA przestrzeni kilku ostatnich lat dokonała się u nas gruntowna rewizja i przewartościowanie tradycyjnych poglądów na zadania, jakie stoją przed sztuką, na jej związek z życiem jednostki i społeczeństwa, na odpowiedzialność pisarza za napisane słowo i na społeczną wagę tego słowa. Proces ten, aktywizując świadomość twórczą pisarzy, niejednemu z nich skłonił do postawienia problemów sztuki i artysty w konkretnych utworach: bądź w formie obrachunku z przewyższonymi już postawami reprezentatywnymi dla kultury burżuazyjnej, bądź w postaci postulującej, zmierzającej ku jakiemuś idealowi, bądź też wreszcie jako próba samookreślenia. Niektórzy pisarze — a dla nich najbardziej reprezentatywne będzie chyba nazwisko Adolfa Rudnickiego — problem ten ustawicznie niepokoją, dlatego też powracają oni do niego stale, jako do spraw wciąż aktualnych i nie rozwiązanych.

W krąg tych zagadnień wprowadza nas również opowiadanie „Ojcowska koszula” z tomu „Opowiadań indyjskich” Jerzego Krzysztonia¹⁾. Wyrasta ono przede wszystkim z potrzeby samookreślenia — co jest zrozumiałe u debiutanta — ale stanowi próbę tego samookreślenia dokonaną a rebours. Jak się później przekonamy, u źródeł tego utworu stała również potrzeba obrachunku. „Ojcowska koszula”, jedno z ostatnich opowiadań autora, jest jednocześnie spojrzeniem wstecz i spojrzeniem w przyszłość. Narayan, obdarty chłopak śpiewający na bazarach, choć z pewnością nie słyszał o klasykach i nie znał żadnej skodyfikowanej poetyki, był wielkim poetą. Jego proste pieśni porwały tłumy, wyrastały bowiem z nurtujących je spraw, z aktualnych, bliskich im wydarzeń. Poezja młodego robotnika hinduskiego służąca tym sprawom, o które walczy jego klasa, towarzysząca jej w tej walce, była sztuką zwycięską. Ale Narayan zyskując opiekę zamożnego mecenasa wykorzystał nadarzącą się okazję do — jakże znamiennej dla tego świata — kariery. Odchodząc ze swej klasy zdradził również swoją sztukę. „Władztwo dusz” wymknęło mu się z rąk. Sarder Mutalik, sułtany esteta, który zajął się Narayanem, wiedział dobrze, że poezja w rękach klasy robotniczej jest orężem zbyt groźnym, żeby nie spróbować jej go wytrącić. W przypadku Narayana burżuazji powiedziała się akcja zmierzająca do rozładowania ofensywy ideologicznej proletariatu. Lata nauki, a później lata beztrudnych wędrówek w krainie abstrakcyjnego piękna dały Narayanowi opowanie techniki i kultury literackiej, ale równocześnie przebrały jego sztukę tej treści humanistycznej, tej dynamiki i pasji moralnej, jakie pisarstwo daje zaangażowanie się w najistotniejsze sprawy człowieka. Poeta skupiający cały swój wysiłek na pogoni za pięknem brzmieniem, lecz pustym dźwiękiem nie dotrzedł już do mas, choć zyska sobie powszechne uznanie w świecie literackim. Dobrobyt materialny pozwalający wieść wygodne życie sybaryty, perspektywa małżeństwa z piękną i bogatą białą kobietą, wreszcie świetny jubileusz przynoszący pociechę zbiorowe wydanie jego dzieł i rozslawiające jego imię artykuły w prasie — wszystko

to, mogłoby się wydawać, stanowi dla Narayana szczyt powodzenia. Ale właśnie w tym momencie bohater uświadamia sobie, że poniósł całkowitą klęskę i jako artysta, i jako człowiek.

Widząc klęskę Narayana, widząc moralną niesłuszność jego drogi, autor nie zdobywa się na bezpośrednie słowa potępienia. Nie jest tu jedynie i przede wszystkim winien Narayan, źródła zła bowiem nie tkwią wyłącznie w człowieku, lecz także w tym układzie stosunków, w jakim przyszło mu żyć i działać. Wybór niegodnej człowieka drogi łatwinizacji życiowej czy też fałszywej estetyzacji postawy pisarskiej — określone są w dużym stopniu przed te społeczno-ustrojowe momenty, na których wykwita kultura burżuazyjna. Nie zwalnia to, oczywiście, człowieka, a zwłaszcza pisarza, od odpowiedzialności moralnej.

W „Ojcowskiej koszuli” układ subiektywnych racji zdaje się w dużym stopniu usprawiedliwiać bohatera. Usprawiedliwienie to jest jednak tylko pozorne. W systemie obiektywnych norm moralnych, na których opiera się budowa świata przedstawionego w „Ojcowskiej koszuli”, postępek Narayana musi zostać osądzony surowo, lecz sprawiedliwie. Autor tego osądu nigdzie wprost nie wyraził, pozostawiając — swoim zwyczajem — wyciągnięcie wniosku czytelnikowi. Doprowadzając do miejsca, w którym uzna, że jest już niepotrzebny, usuwa się, pozostawiając czytelnikowi dużą swobodę. W doskonałej scenie końcowej, która rozgrywa się bez słów, w chwili największego triumfu bohater odczuwa swą moralną nicotę, uświadamiając sobie, że osiągnięte sukcesy są czynnym niewspółmiernym małym w porównaniu do tych obowiązków wobec własnej rodziny i własnej klasy, od których odszedł.

POZYTYWNY program pisarski, jaki można wyczytać z „Ojcowskiej koszuli”, realizuje Krzyszton w swej praktyce twórczej przede wszystkim w utworach ostatnich, jak „Tama” czy „Białogęby”. Nie od razu bowiem doszedł do tych sformułowań, na jakich dziś się opiera. Dziewięć opowiadań, jakie obejmują tom Krzysztonia, powstało na przestrzeni trzech lat. Ponieważ układ ich nie jest chronologiczny, a daty powstania umieszczone są pod trzema tylko, najważniejszymi utworami, nie od rzeczy będzie — dla bliźszego przyjrzenia się linii rozwojowej pisarza, jaka w książce tej zarysowuje się bardzo wyraźnie — ułożyć je we właściwej kolejności czasowej: „Wspomnienie indyjskie”, „Ulica Chowringhee”, „Rece”, „Dzień targowy”, „Powiastka o przewoźniku”, „Plantacja”, „Ojcowska koszula”, „Białogęby” i „Tama”. Zaczęło się od tego, że młody autor, mający spory zasób nieporządkowanych doświadczeń (oczywiście, nie literackich) i autentyczny nerw pisarski, nie wiedział dobrze, co ma powiedzieć. Dawał więc prymat wartościom estetycznym, ciężącym nie tylko na kompozycji czy języku, ale i na samym widzeniu świata („Rece”), lub też skłaniał się do naturalizmu („Ulica

Chowringhee”, częściowo również „Rece”).

Niemal we wszystkich opowiadaniach Krzysztonia, nawet tych najwcześniejszych, dostrzec można wywołaną wrażliwość na cierpienie skrzywdzonego człowieka. Początkowo wrażliwość ta przejawia się reagowaniem na dostrzegane cierpienie w kategoriach najogólniej pojętych zasad moralnych, buntem przeciw temu, że oto cierpi jednostka. Jest to przede wszystkim uczucie solidaryzacji z człowiekiem skrzywdzonym. Ale estetyzm czuwa i poddaje autorowi myśl, że przecież można



Jerzy Krzyszton

cierpienie i jego aspekt społeczny przykroć tak, aby mieściło się w ramach piękno-duchowskich odczuć i widzeń („Rece”). Chęć upiększenia tematu, nienaturalna poetyzacja, mglista symbolika, brak dokumentacji psychologicznej zwiędły koncepcję „Rak” dając utwor sztuczny, nieprawdziwy. Sądzę jednak, że był to utwór potrzebny, bo pisarzowi, który przeszedł przez próbę estetyzmu, łatwiej było później przelamać go i odczuć. Bo Krzyszton w swoich pisarskich poszukiwaniach — jak każdy młody autor — często błądził. Jeśli jednak zrobi jakiś fałszywy krok, to po to, by już później go uniknąć. Widząc więc, jak na każdym mylnym posunięciu stara się poton czegoś nauczyć, jak przewyższając trudności, z którymi jeszcze niedawno nie umiał sobie poradzić, stale się rozwija — chętnie przyznajemy mu prawo do twórczego błędu. Niepoprzestawanie na tym, co się osiągnęło i nieustanny rozwój może najbardziej przekonująco nas do tego pisarza.

W doskonałej noweli „Dzień targowy”, wypełnionej po brzegi ludzkim bólem, tragedia bohatera, który pozabawia się wzroku, by móc zebrać i w ten sposób ratować od śmierci głodowej swą córeczkę, jest gorącym protoplastem i skierowanym do nas wszystkich gwałtownym zawołaniem, że tam — jak powiada Norwid — „człowiek o ratunek wola”. Później pisarz przekonuje się, że cierpienie nie jest tylko złem jednostkowym, ale przede wszystkim złem społecznym, wykładnikiem niesprawiedliwych form ustrojowych. Szczerze przejęcie się tym sprawą, że spełniając jeden z nakazów naszej epoki włącza się w dzieło przebudowy świata, poddaje mu całą swą rodzącą się sztukę pisarską. Odtąd stale umacnia się w nim przeświadczenie, że postawa służenia i walki jest dla pisarza naszych czasów obowiązkiem, od którego nie wolno mu się uchylić. Oczywiście, postulaty te nie stanowią dlań krępujących więzów, lecz tylko drogowskazy kierujące autora do zespolenia swej sztuki ze sprawami, którymi żyje społeczeństwo.

Krzyszton stale pogłębia i rozszerza swą znajomość życia ludzkiego w jego wymiarze zarówno psycholo-

gicznym, jak i społecznym. Jego opowiadania coraz mocniej tkwią w rzeczywistości, coraz wyraźniej zarysowują się w nich powiązania losu jednostki z procesami socjologicznymi, bohaterowie krzepną stając się pełnymi ludźmi — pisarz rozwija się i dojrzewa w naszych oczach. „Tama”, przejmująca pieśń o głodzie, tragiczny epos o cierpieniu już nie jednostek, lecz wielu, wielu ludzi — jest mocnym oskarżeniem, wymierzonym w cały system niedzi i ucisku, w którym z niezwykłą ostrością zarysowują się sprzeczności interesów klasowych chłopstwa i potężnych feudałów. Tak więc to, co niedawno jeszcze było rzuconym na cały świat protestem, teraz jest wyraźnie adresowanym oskarżeniem.

BIHARI, bohater „Ulicy Chowringhee”, przyłączywszy się przypadkowo do tłumy manifestantów gnie w starciu z policją. Jego śmierć, choć poprzedza ją jakiś przebieg solidarności z manifestującymi, jest w gruncie rzeczy również przypadkowa i nieświadoma. Obraz jest tu zmgłniony i zamazany: tłum demonstrantów bliżej nieokreślony, nienazwany, wybiecie jedynie ogólnikowego akcentu antyangielskiego, nietypowość losu bohatera. Także Białogęby w noweli pod tymże tytułem ginie w ulicznej demonstracji. Do udziału w niej dochodzi on przez rozmowę z komunistą Arvindem, przez strajk i zebranie partyjne. To są kolejne ognia w procesie dojrzewania bombajskiego pracza; Białogęby wie, o co walczy jego współtowarzysz, i wie, że ginie dla wspólnej sprawy. Prawidłowość konstrukcji losu jednostkowego bohatera sprawia, że odczytujemy zeń prawdę o losie klasy społecznej. Wracając zaś do manifestacji trzeba stwierdzić, że jest ona bardziej określona i w składzie socjalnym uczestników, i w swoim programie: akcent antyangielski jest jednocześnie akcentem antyimperialistycznym. Wyzwolenie narodowe, o które walczą Hindusi, nie jest pojęte jako cel jedyny i ostateczny (a tak było chyba w „Ulicy Chowringhee”), ale również jako konieczny i skuteczny środek walki o uwolnienie się spod supremacji imperializmu, obcego i rodzimego kapitalu, walki o przebudowę struktury społecznej Indii. Droga od „Ulicy Chowringhee” do „Białogęby” świadczy o tym, że wraz z dojrzewaniem bohaterów dojrzewa i autor.

Strajk, zebranie partyjne, komunisty jako bohater pozytywny — to kręgi tematyczne jak dotąd w literaturze katolickiej — przynajmniej u nas, w Polsce — nie spotykane. Jest przecież tyle wygodniejszych tematów! Zawsze to bezpieczniej hamletyzować w dobrze sobie znanym inteligentkim bagienku, dreptać w miejscu, które z wolna usuwa się spod nóg, niż odważnie wyjść naprzeciw dynamiczującym historii problemom. Ale Krzyszton jest w swych ostatnich utworach pisarzem programowo antyimperialistycznym. Miarą ważności problemów jest dla niego ich zasięg społeczny, a nie subiektywna ocena jednostki. Widząc, że partia komunistyczna stanowi w Indiach jedyną siłę, która może dokonać przebudowy struktury społecznej i gospodarczej kraju — choć niejednokrotnie tak celnie postępuje się przeciwnością, tym razem nie robi uniku. Nie pozwolił mu na to jego niezdolność pisarska. Szcunek i wierność wobec rzeczywistości nakazują mu pokazać to, co widzi i uznaje za ważne, i pisarz się przed tym nie cofnie. Wydaje mi się, że właśnie „Białogęby”, maksymalnie realizujący zasadę uniwersalizmu, jest najbardziej katolickim utworem w całym zbiorze.

„Opowiadania indyjskie” wymagają od czytelnika dużego wysiłku in-

telektualnego, jego aktywnej współpracy. Prowokują one odbiorcę do samodzielnego przemyślenia czy przedyskutowania istotnych spraw. Zamiarem autora jest wstrząsnąć naszym — jakże skłonny do wygodniczego samospokojenia — sumieniem, wstrząsnąć przez pokazanie tego, co w Indiach widział. Zamiar ten decyduje o tym, że pisarz pokazując ten stan rzeczy, jaki w Indiach istnieje, często nie ujawnia przyczyn — co, rzecz jasna, nie dowodzi, że ich nie dostrzega. Czytelnik wstrząśnięty ukazaniem mu obrazem musi zastanowić się nad tymi przyczynami, idąc za dyskretnymi wskazówkami autora musi wyluskać je sam. A to sposób w sztuce z pewnością skuteczniejszy niż nazywanie wszystkiego po imieniu i padosowanie czytelnikowi pod nos gotowych rozwiązań. To dążenie do maksymalnej obiektywizacji, do pozostawienia wymowy samym zdarzeniom i uniknięcie komentarza nie jest wolne od niebezpieczeństw. Oto w rygorystycznym konstrukcyjnym tak świetnie pomyślanej noweli jak „Dzień targowy” wkradło się jakieś niedociągnięcie. Autor — obarczony wówczas jeszcze pewnymi estetyzującymi obciążeniami — uwikłał się w grę zbyt chytry, swą wstrzemięliwość słowną posunął zbyt daleko i zbyt nieufnie jednoznaczny — jak się później okazało — sugestiom. Dlatego też wielu czytelnikom wymyka się sens zakończenia, a tym samym całego utworu. Bo to nie wszystko jedno, jak odczytamy zakończenie: czy że bohater — jak chce autor — wyklucza sobie oczy, czy że — jak odczytało wiele osób — popelnia samobójstwo, czy też wreszcie, że — jak twierdzą złośliwi — obcina sobie wąsy.

Z drugiej strony choć jak najbardziej wyrazistego przedstawienia wiedzy do naturalistycznych wyjąskawień („Tama”). Chęć autor wprowadza je świadomie, krytykowi trudno jest zachować wobec nich przychylność. Niebezpieczeństwo to zasygnalizować trzeba tym bardziej, że naturalizm — zdawałoby się przewyższony już w pierwszych opowiadaniach — pojawia się w dużym natężeniu w chronologicznie najpóźniejszym utworze. Trzeba dodać, że dokonując się w „Tamie” wyzwala się treść epickich spod konstrukcyjnych rygorów, które sprzyja naturalizmowi, dając pisarzowi większy rozmach i swobodę, cięży ku pełnej epizacji.

W dużym stopniu konsekwencją omówionych wyżej założeń (przede wszystkim naczelnego zamierzenia Krzysztonia: pokazać i wstrząsnąć) jest brak perspektywy rozwojowej, brak jakiegos wycielenia się w przyszłość (poza wylamującymi się spod tej zasady „Białogęby”). Nie ma tu biernego poddania się złu, ale człowiek nawet walcząc z nim musi mu ulec. Tej dominacji zła nie mogą przelamać bohaterowie „Opowiadań indyjskich”. Decyduje to o swoistym pesymizmie książki Krzysztonia. Świat pokazany w „Opowiadaniach indyjskich” jest zły i niesprawiedliwy, trzeba więc go zmienić — taki jest sens książki. Autor dostrzegając istniejące zło i skupiając swój wysiłek na wyrazistym ukazaniu go, nie widzi jednak możliwości tej zmiany. Niewątpliwie jest to uwarunkowane rzeczywistym wyglądem świata, który autor przedstawia. W „Opowiadaniach indyjskich” nie poznajemy jednak bezpośrednio rzeczywistości obiektywnej, ale widzimy ją tak, jak widzi ją Jerzy Krzyszton. Dlatego pesymizm ten obciążać musi także i samego autora.

O doskonaleniu się sztuki pisarskiej Krzysztonia przekona nas zestawienie dwu wcześniejszych nowel: „Rece” i „Ulica Chowringhee” z powstałą mniej więcej w dwa lata później „Ojcowską koszulą”. Zarówno w „Rece”, jak i w „Ojcowskiej koszuli” autor stosuje podobny zabieg formalny: użycie ramy. Rama sytuacyj-

(Dokończenia na str. 8)

¹⁾ Jerzy Krzyszton, „Opowiadania indyjskie”, Wydawnictwo Pax, Warszawa 1963, s. 240.

PRYWATNA MĘSKA SZKOŁA OGÓLNOKSZTAŁCĄCA

stopnia licealnego

**p. wezw. św. Augustyna
z prawami szkół państwowych**

Warszawa, Mokolów ul. Naruszewicza 32

przyjmuje zapisy do klas ósmych codziennie godz. 8.00 — 14.00
w sekretariacie szkoły Tel. 40533.

Szkoła jest bezpłatna

Szkoła jest bezpłatna

Andrzej ŁEPKOWSKI

ZE SZKICOWNIKA NA ŁAWCE

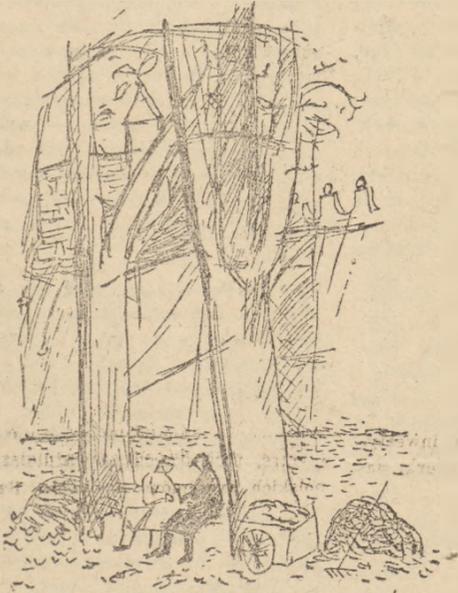
(wiersz jesienny)

Teofilu —
połóż miotłę na liściach — odpocznij.
Koło nas wiele rzeczy ruchliwych, drobnych.
Nad nami pogoda.
— Jakbyś elementarz przeglądał.
Popatrz...
Na dachu miedź wiecznie zielona
— obraz popękany w gałązki lip.

Ty zawsze byłeś trochę artystą.
Powiedz
— czy pieśń o rzeczach widzianych
nie może być z serca?
Zanieś wnukowi błyszczący kasztan.
— Radość oczu jest miłością dziecięcą.

Teofilu —
— popatrz przez planty.
To habie lato — słońce niemowląt w wózkach
A więc
— bezduszną łamigłówką, czy świat najbliższy?

Zabierz dla Stasia żółty liść klonu;
niech mu się przyśni mit roślinny.
— Koło nas rzeczy nieodnalezione...



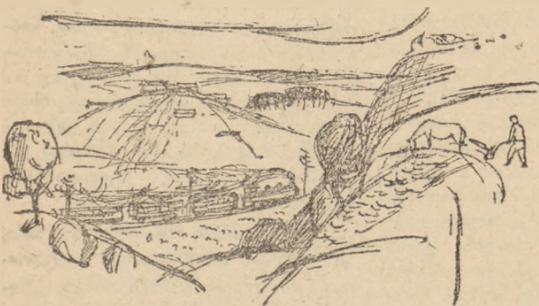
Zróbmy miejsce dla pieśniarzy inicjałów,
— artystów precyzyjnych.

POZDROWIENIE ZIEMI MIECHOWSKIEJ

(wiersz jesienny)

Pozdrawiam was olchy
— nad Diubnią i Szreniawą,
gdzie zziębnięty młyn tęczywoz ózór wywiesił.
Chociaż w błocie utopię przekleństw parę.
— złożę pokłon zafrasowanym świętym.

Odszukam rubinowy głóg,
przez gorejące sady przejdę,
— zmówię różaniec wierz.
Zobaczę jak z błękitów dnia
buduje domek murarz wiejski
i tytoniowym wieńcem wieńczy.
— Pozdrawiam bliźnię wzgórz — szwy jarów —
ziemi mięsni.



Kiedy powrotny pociąg sięgnie przedmieść
— biorę śliwkę ostatnią.
Jabłka położę na szafie,
żeby w mieszkaniu pachniało krajobrazem,
— żeby mi było weselej z listopadem.

OCZEKIWANIE

(wiersz zimowy)

Widziałem niecierpliwie ptaki
choć rzeka stała.
(W różgach wierzbowych słońce zachodziło na wiatr).



Widziałem lecące pod niebem
jak Ocean Lodowaty
— kiedy w muszlach zasp
szumiał potok — zwiastun.
Słyszałem nocą głosy wyższe od gwiazd,
kalendaryz sprawdzałem przy zapałce.

Nad rzeka nie było dat.
Każdą gałązkę móż wyostrzył na cieriń
i pełnię przetaczał po pustce.

Pytałem najstarszych ludzi,
— nie pamiętali.
Na szybach znów biały chwast zakwitł.

Widziałem ptaki wyległe z zronu
(przez mgły przepływał rudy brzask)
— Uwierzyłem czarce, która na wznak
upadła na próg domu.
— Uwierzyłem na przekór przestrzeni oniemiałej.

WIECZOREM

(wiersz wiosenny)

Z tramwajowego pomostu rozwijam miasto.
Nim wysiądę, popatrzę w otwarte okna.



Lubię jak rozchylają się i gasną
— pomarańczowe prostokąty.
Jak zasiedziały, swojskie sprzęty
chłoną minuty przedwieczorne.
— Aktorzy przypadkowych scenek
miniaturowe grają role.

Lubię obrazy i forniery,
Smugę kryształ — błysk przelotny
(Ja wiem — że jestem niedyskretny
czytając z parterowych okien).
Zanim wysiądę spojrzę w górę,
gdzie pisk jerzyków się nie mieści
i kasztan cegły dekoruje.

— Oknom wysokim nie zawdzięczam nic...
Chyba pianina brzęk — kocią sylwetkę — żarówkę.
Wystarczy, żeby wiersz zaśmiecic.
— wystarczy, żeby się uśmiechnąć...

Andrzej Łepkowski

Książka piękna i mądra

(Dokończenie ze str. 7)

na w „Rękach” jest sztywna, statyczna. Opowieść Sebastiana nie siedzi mocno w ramie, nie wyrasta z niej, lecz wsunięta jest w nią luźno jak szufladka. Powiązania ramy z właściwym opowiadaniem są zbyt wątłe, a decyzja Sebastiana, żeby opowiedzieć autorowi tę historię, mało uzasadniona i mało prawdopodobna. Widać wyraźnie, że rama w „Rękach” stanowi jedynie chwyt formalny, pretekst, by wprowadzić opowieść Sebastiana.

W „Ojcowskiej koszuli” motyw tytułowy pojawiający się na początku i na końcu utworu stanowi dynamiczną i zwartą kłamrę powiązaną mocno z całym utworem — nie leży ona bowiem na zewnątrz, lecz tkwi w nim samym — stanowi obramowanie bardzo silnie spinające całość. Motyw koszuli w scenie końcowej jest świetną pointą, która — stwierdzając drugoczącą kłękę Narayana — mocno wybija sens ideologiczny utworu. Tak więc widzimy, że w „Rękach” rama stanowi dla pisarza przede wszystkim zabieg formalny, zabieg, który w całości „nie gra”, jest więc posunięciem nieudanym. W „Ojcowskiej koszuli” natomiast użycie tego samego chwytu formalnego w funkcji ideologicznej w pełni osiąga zamierzony cel.

W „Rękach” autor wypowiada na rachunek Sebastiana wiele pięknych słów, których ten sam nigdy by nie użył. W „Ojcowskiej koszuli” nie brak pięknoduchowskich stwierdzeń. Tu jednak nie pochodzą one od autora, lecz od bohatera, który mówi o sobie, że „będzie mistrzem słowa, gdy potrafi nazwać zapach pomarańczy”. Ta postawa uzasadnia celowość użycia tych słów, które charakteryzują ją pełnią funkcji ideologiczną. W „Rękach” kryterium doboru słów jest to, że są ładne, w „Ojcowskiej koszuli” zaś to, że służą temu, co autor w opowiadaniu chce powiedzieć.

Jest w „Opowiadaniach indyjskich” — o czym już kilkakrotnie wspominałem — dużo naturalizmu. W „Rękach” czy „Ulicy Chowringhee” naturalizm ten chodzi samopas, niepodporządkowany jakiejś nadrzędnej zasadzie. Stąd w „Rękach” jaskrawo brutalna scena restauracyjna silnie odcina się od całości, w której klimacie dominuje mglista symbolika i nastrój wysublimowanej zadumy nad pięknem i cierpieniem. Stąd „Ulica Chowringhee”, wyrosła na zasadzie opisowej wierności wobec świata, rozspjuje się na szereg drobnych obrazków załamujących się w zwierciadłku małego realizmu.

Momentów naturalistycznych nie brak i w „Ojcowskiej koszuli”, ale ich miejsce i rola są odmiennie niż we wspomnianych utworach. Fakt, że Narayan tak silnie zmysłowo odczuwa wygodnictwo życia, jakie pechowi, erotyka fizjologiczna, w której ramach zamyka się jego stosunek do kobiety — charakteryzując bohatera i te uroki życiowe, które skłoniły go do zdrady samego siebie i swojej klasy służą autorowi — przez skonstruowanie dwóch racji: subiektywnej i obiektywnej, dwóch systemów wartości: biologicznego i moralnego — do zasugerowania czytelnikowi oceny postępowania bohatera. Funkcja ideologiczna zatem nobilituje podane sobie elementy naturalistyczne czy estetyzujące.

Niepokojące jest jednak to, że erotyka fizjologiczna nie kończy się w „Ojcowskiej koszuli”, lecz w widzeniu kobiety staje się naczelną zasadą i w innych utworach („Plantacje”, „Tama”). Z pewnością można by wykazać, że sceny erotyczne nie są atrakcyjnymi ozdobnikami, lecz funkcjonują w ogólnej koncepcji utworu. Przypomnijmy jednak raz jeszcze, że świat poznawany przez nas w „Opowiadaniach indyjskich” jest taki, jakim go widzi Krzysztofi. Dlatego też jednostronna, wąska erotyka jest niebezpieczną manierą.

MÓGLBY ktoś powiedzieć, że sąd powyższy nie da się utrzymać, bo w „Powiastce o przewoźniku” pisarz patrzy na kobietę od całkiem innej strony. Tak, ale żeby pokazać tę miłość „czystą”, pozazmysłową, a więc również jednostronną, trzeba było półbaśniowej stylizacji, zatarcia rzeczywistych związków, wyidealizowanej sublimacji. W koronkowej robocie tej uroczej poetyckiej baśni daje autor wspaniały pokaz swego pisarskiego kunsztu. Demonstruje tu doskonale opanowanie tak niebezpiecznego dla młodych pisarzy żywiołu, jakim jest słowo, pokusa wypisania się. Miłość niewyrażona i nie zauważona odczuwa niezwykle subtelnie, wycieniowana jest delikatnie do najdrobniejszych szczegółów. Uczucie to nigdzie nie jest nazwane, jest tylko dyskretnie ukazywane. Ta poezja rzeczy nienazwanych czarująco przedziwna — że użyje słów Carlyle'a — muzyką milczenia i słowa. „Powiastka o przewoźniku” wagą swej problematyki z pewnością nie dorównuje „Ojcowskiej koszuli” czy „Białogębemu”. Pisarz wie o tym i wyraźnie nie stawia tych utworów na jednej płaszczyźnie, podkreślając nierzeczywisty, baśniowy charakter „Powiastki”. Nie wylamuje się ona z przyjętej przez autora hierarchii ważności, mówi jednak, że każda sprawa ludzka — nawet najbardziej osobista — jest ważna. Dlatego opowiadanie to doskonale mieści się w pięknej i mądrej książce Krzysztofi.

Niedawno w jednym z dzienników warszawskich natknąłem się na notatkę informującą, że według doniesień z Delhi pięciuset tysiącom niepełnoletnich Rautahat (środkowy Nepal) grozi głód. Mimo, że sytuacja chłopów nepalskich coraz bardziej się pogarsza, wielcy posiadacze ziemscy bezwzględnie ściągają z nich podatki. Nie chodzi mi tu — co zresztą w ogólnym rachunku nie jest bez znaczenia — o sprawdzanie aktualności Krzysztofiowej „Tamy”, którą mogłyby potwierdzać podobne wiadomości. Ta lakoniczna wzmianka, kryjąca w sobie olbrzymi potencjał ludzkiego bólu, złożona nonparelem, włamana w rubryce „24 godziny na świecie” gdzieś u dołu kolumny, nie jest rewelacją i w nawale innych, bez pośrednio bliższych nam, a więc ważniejszych wiadomości łatwo może pozostać niezauważona. Sądzę jednak, że obok tej notatki nie może przejść obojętnie czytelnik „Opowiadań indyjskich”. Nam nie wolno „przyzwyczaić się” do tego, że gdzieś, o tysiące kilometrów od nas, cierpi człowiek. Nie możemy zobojętnieć na to, że w Indiach co roku głodują setki tysięcy ludzi, że wojna w Korei niesie zagładę wielu mieszkańcom tego kraju. Budzenie czujności moralnej i poczucia solidarności z człowiekiem, który cierpi i który stara się walczyć ze źródłami tego cierpienia — czy to będzie kolonializm, wyszysk wielkiego feudała czy też wojna imperialistyczna — staje się jednym z zasadniczych zadań naszej literatury. „Opowiadania indyjskie”, podobnie jak drukowany niedawno w „Dziś i Jutro” poemat Mateusza Żurawca „List do kardynała Spellmana”, są tym fermentem, który musi poruszyć umysły wszystkich „dobrze myślących”, obciążone jeszcze relikami mieszczańskiej mentalności, musi w nas wszystkich umacniać to przekonanie, że póki istnieje zło na świecie, obowiązują nas postawa walki z nim. Książka ta przekonuje nas, że wszystkie sprawy ludzkie, choćby pozornie wydawały się dalekie, w istocie są nam bardzo bliskie. I myślę, że w tym wielkim dziele kształtowania świadomości nowego człowieka, w dziele, które ma przygotować go do życia w społeczności socjalistycznej — „Opowiadania indyjskie” spełniają rolę niepoślednią.

Sławomir Białas

WODA — H₂O. Zapoznaliśmy się z tym znakiem chemicznym na lekcjach w szkole, jak również z formułą, że woda zamarza w temperaturze 0°, a wrze w temp. 100°C. Wiemy również dobrze, że jest ona podstawą i warunkiem wszelkiego życia, że życie zarówno roślin, jak i zwierząt zamiera tam, gdzie jej brak, np. na olbrzymich przestrzeniach pustyń piaszczystych czy też skalistych. Wstrząsają nam czytane w prasie i zasłyszane wiadomości o tragicznych klęskach powodziowych, spowodowanych gwałtownymi wylewami rzek. Stwierdzają wówczas lakonicznie, że woda nieujarzmiona przez człowieka staje się niejednokrotnie strasznym żywiołem niszczycielskim. Korzystamy z wody codziennie; płynie ona do naszych mieszkań rurami wodociągów. Nic w tym nie ma dziwnego. Lubimy chodzić na baseny pływackie i kąpać się w naszych rzekach. Woda wznacza nasz organizm, umożliwia nam praktykowanie tak przyjemnych sportów, jak żeglarsstwo, wioślarstwo czy pływanie. Itd. itd.

Jakże często — niestety — do takich właśnie banalnych, stereotypowych wynurzeń sprawdza się nasza znajomość całokształtu problematyki wodnej. Urzeczeni jesteśmy bogactwem węgla, stali, benzyny, elektryczności i dlatego zapominamy, że makSYMALNE wykorzystanie zasobów wodnych, zanim odpłyną one do morza, dla potrzeb rolnictwa, przemysłu, elektryfikacji, komunikacji jest koniecznym czynnikiem i warunkiem szybkiego rozwoju życia gospodarczego i pełnego rozkwitu narodowego bogactwa.

GOSPODARKA wodna w Polsce była i jest jeszcze bardzo zaniedbana. Ten stan rzeczy spowodowany został całym szeregiem okoliczności, jak np. podział terytorium państwa polskiego na trzy części w wyniku zaborów, zastój budownictwa wodnego w tym okresie, wadliwa polityka gospodarcza dwudziestolecia. Zamieszczoną poniżej tabelę doskonale przedstawia to zaniedbanie, uwypuklając niezwykle charakterystyczne zjawisko gwałtownego spadku komunikacji wodnej od r. 1875 na Dolnej Wiśle, tej tak ważnej polskiej magistrali wodnej, podczas, gdy w tym samym czasie przewóz ładunków na rzekach w Niemczech zwiększył się kilkakrotnie. (np. na Renie k. Kolonii jedenastokrotnie).

Zacofanie naszej gospodarki wodnej obrazują również następujące cyfry: w stosunku do globalnej ilości

Tadeusz GÓRSKI

Z problematyki gospodarki wodnej

POLSKA Ludowa przejęła gospodarkę wodną w stanie poważnego zacofania i zaniedbania. Nie można było istniejącego stanu rzeczy od razu zmienić. Przed społeczeństwem i rządem stały do zrealizowania pierwzoplanowe, niecierpiące zwłoki zadania: odbudowa kraju ze zgliszcz i ruin, uruchomienie transportu, postawienie „na nogi” przemysłu, rozbudowa i budowa nowych obiektów przemysłowych, których brak dotkliwie dawał się odczuć gospodarce narodowej. Dopiero po uporaniu się z gigantyczną realizacją tych zadań można było pomyśleć o położeniu kresu wielowiekowemu zacofaniu w zakresie gospodarki wodnej. W latach 1945 — 1949 przeprowadzono odbudowę i konieczną konserwację zniszczonych urządzeń wodno-melioracyjnych. W latach następnych rozpoczęto już pierwsze inwestycje, jak częściową kanalizację Bugu, budowę zbiorników w Czorsztynie i Goczałkowicach, zakończoną już w ub. roku budowę wielkiej elektrowni wodnej w Dychowie.

Doceniając poważne znaczenie gospodarki wodnej dla dalszego rozwoju życia gospodarczego kraju, program Frontu Narodowego stwierdza m.in.: „Podjęte zostaną wielkie budowle, które zmienią zasadniczo warunki całych obszarów naszego kraju. Rozpoczniemy budowę wielkich zapór wodnych i kanałów żeglownych, wielkich elektrowni na Wiśle i Bugu, które umożliwią zelektryfikowanie zacofanych części kraju. Wykorzystanie naszych zasobów wodnych do melioracji łąk i pastwisk oraz nawodnienia gruntów ornych pozwoli na znaczny wzrost urodzajów i rozwój hodowli”.

Te dalekosiężne cele gospodarce Frontu Narodowego przeobrażają się już dziś w konkretne formy.

W listopadzie ubiegłego roku Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zwrócił się do Prezydium Polskiej Akademii Nauk z propozycją powołania do życia Komitetu Gospodarki Wodnej PAN. Jakże zadania stoją przed utworzonym organem naukowym? Opracowanie wstępnego a z kolei generalnego i kompleksowego planu przeobrażenia zacofanej gospodarki wodnej w Polsce, którego częściowa realizacja, będąca jedną z czołowych inwestycji nowego Planu 5-letniego, nastąpi w latach 1955 — 1960. Zadanie to jest nie-

łatwe do wykonania. Wymaga ono przeprowadzenia wszechstronnych i szczegółowych badań i prac naukowych. Gospodarka wodna i budownictwo wodne obejmują bowiem szeroki wachlarz nauk: geografii, hydrologię, biologię, fizykę, chemię, matematykę, budowę maszyn, ekonomię. Ponadto opracowywany plan będzie ujęty kompleksowo, tzn. uwzględniać będzie postulaty wszystkich działów gospodarki narodowej, związanych z gospodarką wodną. Należy również dokładnie zapoznać się i przeanalizować doświadczenia projektodawców i realizatorów tego typu prac w Związku Radzieckim i innych krajach.

na rzece	Przewóz ładunków w tysiącach ton		
	1875	1910	1934
Dolnej Wiśle	1.175	820	537
Dolnej Odrze	514	3.325	3.760
Dolnej Łąbie	600	10.000	6.100
Renie k. Kolonii	2.030	19.000	23.200

łatwe do wykonania. Wymaga ono przeprowadzenia wszechstronnych i szczegółowych badań i prac naukowych. Gospodarka wodna i budownictwo wodne obejmują bowiem szeroki wachlarz nauk: geografii, hydrologię, biologię, fizykę, chemię, matematykę, budowę maszyn, ekonomię. Ponadto opracowywany plan będzie ujęty kompleksowo, tzn. uwzględniać będzie postulaty wszystkich działów gospodarki narodowej, związanych z gospodarką wodną. Należy również dokładnie zapoznać się i przeanalizować doświadczenia projektodawców i realizatorów tego typu prac w Związku Radzieckim i innych krajach.

Opracowanie teoretyczne, ale również z punktu widzenia zadań praktycznych całokształtu problematyki gospodarki wodnej przez kolegium polskich uczonych jest faktem nienowoczesnym dotychczas w dziejach nauki polskiej. Zlecenie im do wykonania zadania tej miary świadczy do-

bitnie o coraz bardziej pogłębiającym się zespoleniu nauki polskiej z potrzebami i zadaniami narodowej gospodarki, a dla dalszego rozwoju w naszym kraju gospodarki wodnej ma ono niezwykle doniosłe znaczenie.

NIE ulega wątpliwości, że inwestycje w zakresie gospodarki wodnej są bardzo kosztowne i mogą być realizowane na przestrzeni dłuższego okresu czasu. Rentowność ich jednak należy obliczać naprzód sumą unikniętych strat, a z kolei sumą osiągniętych korzyści.

Dla zobrazowania strat, jakie gospodarka krajowa ponosi wskutek chronicznych klęsk powodziowych, rzucę kilka cyfr. W czasie od r. 1914 — 1951 na terenie tylko Pogórza Karpackiego szkody powodziowe szacuje się w przybliżeniu na 370 milionów złotych, co w skali rocznej wynosi około 23 mln. złotych. Około 1000 km. dróg lądowych i kolejowych, około 2000 mostów, setki wsi, zakładów przemysłowych, szereg miast jest stale w tym rejonie narażone na niebezpieczeństwo powodzi w okresie gwałtownego spływu wód.

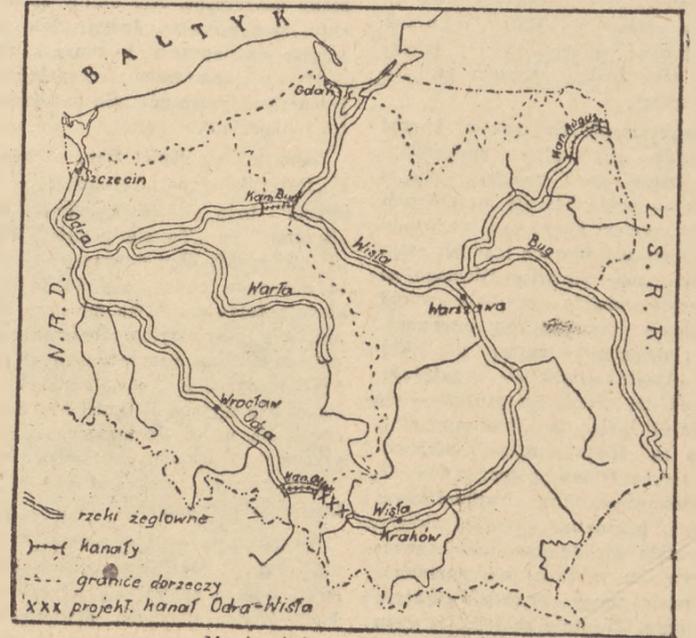
Jakże zostały już przeprowadzone i jakie zostaną podjęte prace celem całkowitej likwidacji groźby klęsk powodziowych w naszym kraju?

Dwa są zasadnicze sposoby zabezpieczenia przeciwpowodziowego: obwałowywanie dolin rzecznych i budowa zbiorników, spełniających rolę regulatora potencjału wodnego rzek. W okresie międzywojennym wybudowano w Polsce dwa duże zbiorniki na wodę w Porąbce i Rożnowie. W latach powojennych zakończono prace przy budowie zapory i zbiornika w Czochwie. Jednakże tego rodzaju zabezpieczenie powodziowe jest niewystarczające. Teren Polski południowej, szczególnie Pogórze Karpackie, będzie w okresie następnych lat terenem walki człowieka z przyrodą. Celem całkowitej eliminacji klęsk powodziowych i ujarzmienia gwałtownych i dzikich potoków górskich oraz rzek wykonane zostaną na tym obszarze następujące prace: budowa dużej ilości małych zbiorników na wodę i kilku dużych, budowa wałów przeciwpowodziowych na przestrzeni około 1300 km., budowa kilkuset zapór szutrowych, zwiększenie zalesienia terenów górskich o 24 proc. Podjęta już została budowa zbiornika w Goczałkowicach na Małej Wiśle w woj. stalinogrodzkim, gdzie po wybudowaniu zapory powstanie olbrzymie jezioro zaopatrujące w wodę Zagłębie Śląskie i likwidujące na tym terenie na zawsze groźbę powodzi. Wykonanie zaprojektowanych prac nie tylko eliminuje całkowicie niebezpieczeństwo klęsk powodziowych i szkód, jakie one powodują, ale oznacza również szereg olbrzymich korzyści dla gospodarki narodowej w zakresie rolnictwa i hodowli, elektryfikacji kraju, żeglugi śródlądowej.

JEDNYM z podstawowych warunków dalszego rozwoju rolnictwa i związanej z nim hodowli będzie realizacja planu przeobrażenia naszej gospodarki wodnej w szczególności przez podjęcie wielkich robót melioracyjnych. Zagadnienie melioracji, której zadaniem jest (używając terminów fachowych) regulowanie reżymu wodnego w glebie, stanowi najbardziej istotną część planu przeobrażenia przyrody. Odwadnianie gruntów wilgotnych, nawadnianie gruntów suchych, w szczególności w katastrofalnych dla rolnictwa okresach posuchy — pozwoli na podniesienie wydajności pól prawie o 100 proc., ułatwi przeobrażenie się rolnej gospodarki zbożowej na ogrodniczo-hodowlaną. Również zalesienie

regionu górskiego działać będzie hamująco na procesy niszczenia gleb przez wiatr i wodę, zwiększy wilgotność gleb w tych rejonach, co z kolei wywrze dodatni wpływ na wzrost urodzajów i plonów. Wykorzystanie energii elektrycznej, jakiej dostarczą nowopowstałe wielkie i małe elektrownie wodne, do zmechanizowanych prac w rolnictwie będzie dalszym ważnym czynnikiem jego rozwoju.

Wiceprezes Rady Min. Stefan Ję-



Mapka dróg wodnych w Polsce

drychowski w przemówieniu wygłoszonym na pierwszym posiedzeniu Komitetu Gospodarki Wodnej Polskiej Akademii Nauk stwierdził m. in., że korzyści, jakie odniesie rolnictwo z przebudowy naszych rzek, będą jednym z mierników zarówno dojrzałości technicznej, jak i ekonomicznej rentowności projektów inwestycyjnych w tej gałęzi gospodarki narodowej.

BUDOWA nowych, wielkich i małych zbiorników na wodę na Górnej Wiśle oraz sztucznych spiętrzeń na Dolnej zapewni gospodarce krajowej poza wymienionymi już korzyściami dalsze korzyści w zakresie elektryfikacji i żeglugi śródlądowej. Oblicza się, że zasoby energii wodnej w Polsce wynoszą około 10 miliardów KWh. Wykorzystanie już choćby częściowe tych zasobów pozwoli na oszczędzenie kilku milionów ton węgla rocznie, który będzie można zużyć jako podstawowy surowiec dla pewnych gałęzi przemysłu (np. chemicznego) oraz jako materiał opały dla nowopowstałych osiedli mieszkaniowych. W ubiegłym roku ukończona została największa i najbardziej nowoczesna spośród kilku już istniejących — elektrownia wodna w Dychowie. Zaplanowana jest budowa potężnej elektrowni i innych wielkich zakładów energetycznych. Równocześnie rozwijać się będzie harmonijnie tzw. „mała energetyka wodna” przez budowę małych elektrowni o lokalnym znaczeniu, które stanowią uzupełnienie wielkich zakładów energetycznych. W latach 1955 — 1960 moc elektrowni wodnych wzrośnie 40-krotnie w stosunku do roku 1938.

ZBIORNIKI wodne i stopnie piętrzące, których budowę już zaczęto, względnie rozpocznie się już wkrótce, spełniać będą bardzo ważną rolę dla żeglugi śródlądowej, regulując tora potencjału wodnego rzek. Dla kursowania bowiem statków czy barków potrzebna jest pewna stała wysokość poziomu wody na rzece, który, jak wiadomo, nie kontrolowany i nie regulowany przez człowieka wykazuje dużą rozpiętość. Poważne zacofanie na odcinku żeglugi śródlądowej w Polsce zostanie dzięki realizacji planu przeobrażenia przyrody definitywnie zlikwidowane. Oznacza to znowu dla

gospodarstwa narodowego olbrzymie korzyści. Transport bowiem wodny masowych ładunków jest znacznie tańszy od przewozu kolejowego, a tym bardziej samochodowego. Do przewozu bowiem jednej tony ładunku koleją potrzebny jest 1 HP (koń mechaniczny). W żegludze natomiast 1 HP ciągnie z łatwością ładunek 20-krotnie większy. Również znacznie mniejsze jest zużycie taboru wodnego oraz znacznie niższe są koszty jego obsługi — w stosunku do kolei (4,3 razy), a w stosunku do transportu samochodowego (13,6 razy).

W 1939 r. zaledwie 8,3 proc. polskich dróg wodnych nadawało się dla jednostek pływających o tonażu po-

wyżej 400 ton. Obecnie 32 proc. naszych dróg wodnych nadaje się dla jednostek o poważniejszym tonażu. Drogi te dzielimy na 3 magistrale wodne, którymi są: Wiśła, Odra oraz Warta wraz z Notecią i Kanałem Bydgoskim. Projektowana jest obecnie budowa kanału łączącego Wisłę i Odrę, tych dwóch najważniejszych polskich systemów wodnych. Rzeki nasze tworzyć będą zamkniętą sieć szlaków wodnych, połączonych z drogami wodnymi Związku Radzieckiego i Niemieckiej Republiki Demokratycznej, i umożliwiających tranzyt masowych ładunków. Spławny system kanałów i rzek zespoli Zagłębie Śląskie z resztą kraju. Przy pomocy taniej żeglugi łatwo będzie można przetrzącać z jednych dzielnic do drugich takie artykuły masowe, jak węgiel, produkty przemysłowe, zboże, drzewo i inne.

Plan przeobrażenia gospodarki wodnej w Polsce uwzględni również zagadnienie zapotrzebowania na wodę celem zaspokojenia wzrastających potrzeb ludności miast i wsi w związku z rozbudową sieci wodociągów i kanalizacji, oraz zapotrzebowanie na wodę przez powstające olbrzymie obiekty przemysłowe. Plan powyższy ma charakter nie tylko ściśle gospodarczy. Nad zbiornikami wód powstaną bowiem również wielkie ośrodki wypoczynkowe oraz ośrodki turystyki i sportu wodnego.

NALEŻY sobie uświadomić, że plan przeobrażenia gospodarki wodnej w Polsce jest gigantycznym wprost zamierzeniem. Realizacja jego wymaga przeprowadzenia naprzód wstępnych i dokładnych badań oraz prac naukowych. Wymaga ona przygotowania odpowiednio wyszkolonych kadr fachowców: około kilkudziesięciu tysięcy robotników oraz kilku tysięcy techników i inżynierów. Wymaga ona przygotowania już dziś setek tysięcy ton materiałów i sprzętu budowlanego, maszyn, taboru wodnego.

Rozpoczęte już na tym odcinku wstępne prace oraz fakt zwycięskiej realizacji dotychczasowych naszych planów gospodarczych są gwarancją, że to gigantyczne zamierzenie przeobrażenia gospodarki wodnej w Polsce w okresie najbliższych lat da już oczekiwane wyniki.

Stanisław ZYGLICH

D O T R Z E C H R A Z Y...

KIEDYŚ bardzo, bardzo dawno temu pisałem na tych łamach o nowym okresie warszawskiego teatru małych form, o nowym otwierającym się etapie rozwoju teatru satyrycznego. Powstał wtedy właśnie „Teatr Satyryków”, występując ze swym inauguracyjnym programem pt. „Objeżdżalnia społeczna”. Jednocześnie niemal podstarzała „Syrena” odmłodziła nagle i — ku powszechnemu zadowoleniu — skończyła wreszcie swoje wielomiesięczne dwa tygodnie wczasów w „Raju”, by przedstawić nowy, przełomowy w tradycjach tego teatru program pt. „To się pokaże”.

I wystąpienie „Satyryków”, i przedstawienie „Syreny” — podkreśliły to jeszcze raz: zbiegające się w czasie — wydawało się szczęśliwym obwieszczeniem nowej ery, wydawało się początkiem nowych tradycji satyry scenicznej. Nic więc dziwnego, że wybuchło wielkie gaudium wśród wielbicieli i sympatyków inteligentnej i dowcipnej muzy, dla której Apollo ongiś — wyстарszy się dla dziewięciu innych — nie wystarzał się o dziesiąty etat, która to jednak muza, lekceważąc trochę Olimp, potrafiła dowieść, że może być równie, a chwilami nawet więcej przydatna niż jej siostry. Wybuchło wielkie gaudium i zawołało na wielkim, głosem: no, nareszcie! Nareszcie mamy prawdziwą satyrę sceniczną. Świetnie zaczęli. Od razu jasniej chce się patrzeć w ich przyszłość.

A dzisiaj? Dzisiaj, to co wtedy było przyszłością, jest już historią. Natrzymy na to, jak na przeszłość. Zestawienie kolejnych programów obydwu teatrów satyrycznych Warszawy budzi — jak się to eufemicznie mówi — niepokój.

Na początku było świetnie. Z rozmachem, z dowcipem; sala wybuchała eksplozjami śmiechu, program dzierżał numer za numerem sieć, którą zagarniał widownię lekko, brał w jasyr — jakby rzekł poeta. Ej, łaż się kreć. Któż nie pamięta „Objeżdżalnia społecznej” i „To się pokaże”?

Tu, na tych tak zwanych łamach pisałem — jeden z gorliwszych wielbicieli nadetatowej muzy — radosną pochwałę, grałem fanfarę powitalną z innymi. „Cóż nam zostało z tamtych dni?” Wspomnienia. Wspominam więc, że zakończyłem swój en-

tuzjastyczny artykuł prośbą, wezwaniem, postulatem, by tak pięknie zaczęta praca i w dalszym ciągu... Wysiłem się nawet na cytaty z wieszczki, który (chyba niedokładnie, bo z pamięci zacytowany) głosił: „Lećmy więc i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu!”

No i — psiaakrew! — polecili. Jak z pieca na łeb. Patrz na dół, kędy mgła wieczna zaciemnia obszar gnusności zalany odmetem. To — nasze sceny satyryczne. Ale dajmy spokój cytatom z wieszczki. Jedyny, jaki tu jeszcze się naprasza, to ten z „Dziadów”, ten zastraszony, niespokojny, pełen złych przeczuć: „Co to będzie? Co to będzie?”.

Zajmijmy się lepiej tym, co było. U „Satyryków” po „Objeżdżalni społecznej”, było „Biuro docinków”. W „Syrenie” po „To się pokaże”, był „Wielki cyrk”. Zbyt dawno działały się te niewesołe rzeczy, aby tu je dokładnie omawiać. Kilka miesięcy temu, gdy pośpieszyłem obejrzeć te cuda, wyszedłszy postanowiłem — nie pisać recenzji. No, cóż — mówiłem sobie. Nie wyszło. Potknęli się. Spoczywa na nich jeszcze splendor poprzednich wystąpień, zbyt ostre kontrasty, trzeba poczekać. Dziś jednak trzeba to przypomnieć.

Co dała „Syrena” w swoim „Wielkim cyrku”? Mały cyrk. Program w dużej mierze opierał się na sztucznościach scenograficznych, oświetleniowych i niemal protechnicznych. To, co w poprzednim programie grało współzgodnie (i pierwszorzędnie) ze słowem, z dowcipem, z ostrą satyrą polityczną — tu miało być zasadą dowcipu, główną pointą sceny, podstawą efektu. Więcej w tym było za usługi Stanisława Pioruna (światło), Bolesława Żybuli (brygadiera sceny) niż autorów i aktorów. Wybijające się (swą ilością i reklamą) numery satyry antyamerykańskiej w równej mierze były przede wszystkim atrakcyjne przez swój komizm sytuacyjny, bawiły jak clowny, nie jak Stań czykowski blazny. To znaczy — po ruszały tylko muskuły śmiechow. Nie poruszały niczego w środku czoła wieka. Było nudnawo, pustawo, głupawo.

Do „Satyryków” na „Biuro docinków” szedłem z tym większą nadzieją w ściśniętym trochę sercu. No, oni odrobnią, zrekompensują, naprawią.

Koło nas siedziała jakaś starsza, przystojna pani z jakimś młodym człowiekiem. Szalenie jestem wrażliwy na sąsiedztwo w teatrze. Nie lubię np., gdy po mojej lewicy siedzi ktoś z tłumioną czkawką czy dyskretnie maskowaną sapką lub z cukierkami w szeleszczących papierkach. Przyjrzałem się nieznajomej damie po lewicy. Nie miała czkawki, nie miała sapki, nie jadła cukierków. Wszytko w porządku — odetchnąłem z ulgą. Atoli później okazało się, że ta pani miała wielokrotnie gorszą wadę. Wołałbym już, aby ją męczyła głód na czkawka z przydechem, sapka z komplikacjami, wołałbym, żeby przysłała z torbą orzechów, pogodziłbym się nawet z dziadkiem do orzechów.

Dama po lewicy jednak chciała się koniecznie śmiać. To była ta jej straszna wada. Przyszła do teatru z bezwzględny, apriorycznym postanowieniem. Uśmieję się za wszystkie czasy! I śmiała się! Za wszystkie czasy i za wszystkich widzów w najbliźszych rzędach. Ktoś jej widocznie powiedział o poprzedniej „Objeżdżalni społecznej” albo też pojęła dosłownie tzw. dwie godziny humoru, dość, że śmiech jej dygotał, chybotał, migotał, klekotał, turkotał, trzepotał prawie po każdym numerze, a często i w czasie trwania numeru programu.

To było koszarne. Ludzie wychylali głowy, wykręcali szyje, by spojrzeć w oczy druzgocącym spojrzeniem opętanej chichotce. Odsunęłem się trochę, by nie podlegać podejrzeniu, że to ja zawiñem obecność tej pani w teatrze. Młodzian po lewicy uśmiechał się jak Fiekarski na mękach. A ona wyrabiała swoją zaplanowaną normę śmiechu. Wypoczęła w czasie przerwy i po przerwie zaczęła znowu. Nie zadusiłem tej damy pod koniec spektaklu tylko dla tego, że byłam zbyt wyczerpany.

Opowiadał tu o niej tylko po to, by uwyraźnić zmiany zachodzące w naszych teatrach satyrycznych. Na „Objeżdżalni społecznej” ta pani ciągle usiłująca się śmiać zginęłaby w tłumie, chichot jej utonąłby w huczącym na całej widowni śmiechu. I to wydawało się normalne. Teraz zaś jej śmiech był samotny, objawiał się w swojej nachalności, stał w kontraście z nastrojem widowni. Czasami jeszcze przeleciał po twarzach śmiech, czasami parę śmiechów, ale huragan braw, salwy serdecznego, pełnego śmiechu — były tylko przeszłością. Nie było z „Biurem docinków” tak źle, jak z „Wielkim cyrkiem”, ale — niestety — nie było nawet w jednej czwartej tak dobrze, jak z „Objeżdżalnią społeczną”. Smutno wyglądają te proporcje. Satyrycy w „Biurze docinków” byli własnymi cieniami z „Objeżdżalni społecznej”. To nie był teatr satyryków, lecz teatr cieniów.

Jedynie trzy punkty całego programu miały — bądź dzięki autorom, bądź dzięki aktorom — wyrazny nerw satyryczny. Myślę o monologu Krystyny Żywulskiej w wykonaniu Ireny Kwiatkowskiej pt. „Chodź o śledzie”, myślę o skeczu satyrycznym J. Minkiewicza pt. „Postrzyżny” i o „Prelekcji o wieszcu” A. Słonimskiego w wykonaniu Kazimierza Pawłowskiego. Reszta to może nawet chwilami miłe, ale i banalne, i „bez ikry” śpiewności i deklamacyjności. Najbardziej „bez ikry” był chyba Wiech ze swoim bohaterem Piecykiem. Było to zbyt ryzykowne korzystanie na kredyt z tej skarbnicy dowcipu, która coraz częściej okazuje się niewypłacalna. Tylko pani po lewej stronie usiłowała wybuchnąć tzw. frenetycznym śmiechem. Ale ona śmiała się z przyzwyczajenia.

ZARÓWNO „Wielki cyrk” w „Syrenie”, jak i „Biuro docinków” w „Teatrze Satyryków” (choć raz jeszcze raz zwrócić należy nawiasowo

uwagę, że na ul. Konopnickiej działo się nie tak źle, jak na ul. Litewskiej) można było uznać za okresowe zmęczenie nerwu satyrycznego, chciało się zinterpretować jako chwilowy brak inwencji. Dlatego z tym większym zainteresowaniem wybieraliśmy się po raz trzeci do obydwu teatrów — do „Syreny” na program „Z zegarkiem w rękę”, do „Teatru Satyryków” na „Ministerstwo Satyry”.

Tu trzeba dokonać tzw. wyraźniejszego zróżnicowania. Polega ono na tym, że trzeci z kolei program w „Teatrze Satyryków” jest rehabilitacją po drugim programie, natomiast w „Syrenie” program trzeci jest jeszcze wyrazistszą niż drugi



Adolf Dymśa
w „Legendzie Wieniawskiego”
fot. C. O. P. A.

ilustracją drogi lotu z pieca na łeb. Daleko jeszcze od „Ministerstwa satyry” do „Objeżdżalni społecznej”, ale już bliżej niż z „Biura docinków”. Natomiast po „Wielkim cyrku” dochodzimy „Z zegarkiem w rękę” do wielkiej miernoty, kiedy po wspaniałej obietnicy — „To się pokaże” — pokazuje się bardzo stromą krzywizną upadku.

Co zrobił „Teatr Satyryków”?

Dał program pomysły lekko i dowcipnie jako szereg satyrycznych ataków na ujemne zjawiska naszego życia wewnątrz krajowego, dał jednocześnie w pomysłowych skeczach zwięzłą charakterystykę wroga zewnętrzного. Interpretacja ideologiczna — wpisana dyskretnie w teksty — nigdzie nie pozostawia wątpliwości. W układ programu wpleciono momenty liryczne, dające dobre pauzy nastrojowe. Konferansjerkę uczyniono nie tylko łącznikiem, lecz i współtworzącą całość spektaklu siłą satyrycznego komentarza (doskonale pomysły z afiszami). Dzięki temu całościowemu traktowaniu spektaklu jest on i wyraźniejszy w swej koncepcji ideowo satyrycznej, i bardziej „zestrojony” w swojej koncepcji widowiskowo teatralnej.

Oczywiście, były punkty programu, które zdecydowanie wybiły się na pierwszy plan swoją trafnością ideową, dowcipem tekstu, pomysłowością inscenizacji czy interpretacji artystycznej. Niezawodna Irena Kwiatkowska jako Sabina Piesek w felietonie Wiecha dała wymienioną sylwetkę „praworządnej” paskarki, a w „Marzycielach” (tekst T. Żeromskiego według pomysłu Zb. Grotowskiego) stworzyła wspólnie z Saturninem Żórawskim doskonałą parę zidiociałych w swej reakcyjności emigrantów, przypominając kapitalną „Emigrację” Słonimskiego z „Objeżdżalni Społecznej”. Również na pierwszy plan wybił się monolog Kazimierza Pawłowskiego, którego

autor był jednocześnie najlepszym chyba wykonawcą. Jego „Ej Kaśka, nie daj się” — cperujące szeroką skalą efektów aktorskich, każących nam ciągle pamiętać i „Bikiniarza” z „Objeżdżalni społecznej”, i „Prelekcję o wieszcu” z „Biura docinków” — posłużyło i ubawieniu publiczności, i ostrej krytyce polityki programowej Polskiego Radia. Pomysłowe skecze, jak „Po linii walki z kumoterstwem” czy „Majówka” lub „Przyszedł Jasio do okienka” czy „Idylla” również przypominały świetny start „Teatru Satyryków”. Z piosenkami i poważną recytacją było gorzej, mniej „siedziały” w programie, ale całość pozwoliła zatrząść częściowo rozczarowanie „Biurem docinków”.

Co natomiast zrobiła „Syrena”?

Wstyd jeszcze większy niż „Wielki cyrk”. Można było z zegarkiem w rękę obliczyć, ile czasu w dwugodzinym spektaklu zajmowały minuty, w których widz mógł czuć się dobrze, odetchnąć swobodnie, bez poczucia ciężaru kiepskiego, banalnego humoru, bladych atrakcyjnostek, łatwych liryczności. W sumie było tych minut około dwudziestu. Dziesięć z nich przypada na przerwę, drugie dziesięć na monolog J. Tuwima pt. „Legenda Wieniawskiego”, który mistrzowsko wykonał A. Dymśa. To za mało, to o bardzo wiele za mało.

Recenzenci zwracali już uwagę na ideologiczne przyczyny anemiczności tego widowiska. Brak szerszych perspektyw tematycznych, jednokierunkowość satyry, szablonowość w wyborze obiektów ataku satyrycznego, lakiernictwo w obrazkach wiejskich, tanioccha point humorystycznych — to za wiele, to za wiele — jakby wykrzyknął Papkin.

A przecież „Syrena” ma takie możliwości! Takich autorów! Takie dobre początki programu telewizyjnego! Czyżby — brak tekstów? Bardzo możliwe. Bo oprócz „Legendy Wieniawskiego” bawił jako tako (w porównaniu z kapitalnym monologiem — raczej niejako) tylko „Królówiec Maj” (tekst Wiecha, wykonanie Dymśy), „Numerki” (tekst Tuwima, wykonanie przede wszystkim Dymśy), no i miejscami „M.P.O.M.” (tekst Słonimskiego). A więc jedynymi punktami programu, które, jak to się zwykło mówić, „stały na poziomie”, były te, których tekst pisał tzw. dobre pióro. Jednocześnie wszakże zwraca uwagę, że były to numery najlepiej obsadzone aktorsko (w tym wypadku — trzy razy Dymśa). Nie rozstrzygamy sprawy. Od tego są bardziej kompetentni.

Zwróćmy jeszcze uwagę na jedno. Warszawskie teatry satyryczne mają być niejako wzorem dla innych. Ta ich dodatkowa funkcja nakłada na nie szczególne zobowiązanie. Dlatego tym większe trzeba czynić laram wokół sprawy obniżenia poziomu, przytępienia ostrości satyry, spłylenia efektu artystycznego.

I jeszcze jedno. Nowe programy naszych teatrów satyrycznych zbiegły się w przybliżeniu z ogólnokrajową naradą satyryków. Konsekwencja twórcza tej narady powinna przejawiać się w dalszej pracy teatrów satyrycznych, co — zwłaszcza dla „Syreny” — jest surowym monitem.

Są możliwości, znamy je, odnotowaliśmy je, wierzymy w nie. Chcemy, aby były wykorzystywane w pełni. To sprawa, która obchodzi nas wszystkich.

Dlatego te uwagi są tak ostre, nagłażące. Jeśli kogoś coś bardzo obchodzi — musi pisać ostro, wyraźnie, twardo.

Pamiętajcie o tym, satyrycy.

Bezdroża kolonializmu

(Dokończenie ze str. 2)

swego dzieła poświęca rozważaniom nad różnicami i zbieżnościami religii chrześcijańskiej i islamu, prowadząc do tego, że różnice są bardziej powierzchowne i drugorzędne, zbieżności zaś bardziej poważne i istotne. Dążyć więc należy — jak pisze — do zasypywania rowów i budowania mostów. W ten sposób — jego zdaniem — religia przestanie być czynnikiem dzielącym, a przyczyni się do włączenia Berberów do „wielkiej rodziny zachodnio-europejskiej”, a więc do ściślego związania ich z Francją.

Tak więc Guernier chwytą się wszystkich sposobów politycznych, rasistowskich, gospodarczych, kulturalnych i religijnych dla próby przeciągnięcia części mieszkańców Afryki Północnej na stronę Francji i wytworzenia tam sztucznych antagonizmów wewnętrznych, które by pozwoliły na dalsze kontynuowanie okupacji kolonialnej. Ma to w pierwszym rzędzie na celu odwrócenie uwagi ludności miejscowej od coraz ostrzej zarzysowujących się problemów społecznych, które stają się wciąż potężniejszym motorem walki narodowo-wyzwoleńczej ludów Afryki Północnej.

Obok świadomego ignorowania tocących się tam, jak i wszędzie indziej, walk klasowych, w koncepcji programowej Guerniera rzuca się w oczy całkowite niezrozumienie istoty problemu narodowego. Każda narodowość, formująca się w określonych warunkach społeczno-gospodarczych, powstaje ze zlewania się różnorodnych elementów etnicznych i kulturalnych w wyniku wielowiekowego współżycia na wspólnym terytorium. Doszukiwanie się w Afryce Północnej historycznych antecedentów plemiennych jest dzisiaj takim samym anachronizmem, jakim byłyby np. próby rozwarstwiania dzisiejszej Francji na elementy celtyckie, iberyjskie i germańskie.

W ogniu dzisiejszych walk narodowo-wyzwoleńczych tworzą się nowoczesne narody północno-afrykańskie, czerpiące zarówno z dawnych tradycji kulturalnych swego kraju, jak i ze skarbnicy światowej myśli postępowej. Nie waśnie plemienne i rasowe, ale jedność narodowa bierze górę, jedność w walce z wyższym kolonialnym o wolność i niepodległość.

Szymon Dereń

U dolnośląskiej Melpomeny

TAK się zdarzyło, że we Wrocławiu zapowiedź *Grzechu* była równoczesna z jego popelnieniem (zresztą wcale przyjemnym)... na scenie. Spod pióra Ireny Bołtuć Staszewskiej, jednej z „winowajczyni” spłynęło takie wyurzenie: „Na scenę wrocławskiego Teatru Polskiego wchodzi w dniu dzisiejszym jedno z najcenniejszych dzieł realizmu krytycznego w naszej dramaturgii, wydobyte dopiero w 1950 r. z teki zapomnianych rękopisów Stefana Żeromskiego — dramat pt. *Grzech*...”

Nie trzeba chyba nastawiać reflektorów na sztukę, która została dostatecznie oświetlona w skrupulatnych debatach wielu krytyków. Wiadoma rzecz: młody Żeromski wskazał swej bohaterce, która popełniła błąd z nadmiaru szlachetnej łatwouważności i która na szczęście posiada mocny charakter — jedyne wyjście z poniżającej sytuacji w środowisku zubożonego mieszczaństwa i zbankrutowanej szlachty — zerwanie z tą klasą. Żeromski na tym nie poprzestał i co wiarogodnie poświadcza znający całość dramatu, cytowany przez Kruczkowskiego — St. Knapff, umieścił ofiarę podłej intrygi, podłych stosunków i niewłaściwie startującego realizmu — „na budowie” wśród prostych robotników. Tutaj dopiero Anna (imię bohaterki) zyskuje rzetelne oparcie moralne. Do tzw. „swoich” nie wraca. Morał sztuki po uwzględnieniu czasu jej powstania (1897) nie tylko odważny, ale wzrost zachwały. Pisano o tym wiele.

Nie przypominam sobie za to, czy ktoś nadmieniał, że autor rozpoczął swój *Grzech* jako wyborny komediopisarz i później, gdzieś w drugim akcie, chyba wskutek wrodzonego patosu, obrócił ster ku dramatu. Kto wie, czy nie szkoda? Ten młody adwokat z aktu pierwszego, Bukowicz, ten generał-bas w akompaniamencie trzech za-

kochanych panien — to świetne założenie komedii. Mogła to być oczywiście komedia gorzka, ale, gdyby autor wygrał wszystkie wprawna ręką poruszone tonacje — bardzo... polifoniczna. Taka „historia wesola, a ogromnie przez to smutna”.

O grze aktorów można powiedzieć, że przypomina triolet. Trzeba bowiem ciągle wracać do trzech nazwisk: Janina Martynowska (w roli Wandy Ogrodzkiej), Artur Młodnicki (jako Witold Bukowicz), Zenon Burzyński (kapitałny służący Józef). Plastyka tych figur scenicznych cokolwiek przyćmiła inne figury. Co prawda sam tekst był tej trójce pomocny. Są to role największej zbliżone do „samograjów”. Tak, towi reżyserii Wilama Horzyca i usiłowaniu aktorów przedstawienie zawdzięcza należyte proporcje całości. Sprawne sceny zbiorowe, wyrazistość typów robotniczych w ostatnich akcie, trafnie podkreślone pointy i finały. W pewnych wypadkach był to popis gestu dokładnie wystudiowanego i odpowiednio „malowniczej” mimiki (koniec aktu I, rozmowa Bukowicza z Zofią Parmenki, reakcja na wiadomość, że ubożuchna gubernantka Janina Kwadowska otrzymała z łaski wsparcie „mimo” „Parmenki” posag w sumie 20.000 rubli)

W PIERWSZEJ chwili czytając na afiszu tytuł *Chirurg*, nie wiedziałem, o jaką sztukę chodzi. Dopiero pod tytuł Platon Kreczet wyjaśnił, że mam do czynienia ze starą znajomą. Korniejczuk, tak mi się zdaje, nigdzie swojej sztuki nie nazwał *Chirurgem*. Czyżby więc teatr chciał przez zmianę nagłówka od razu zasugerować swoim widzom treść sztuki? Byłby to dydaktyzm tego pokroju, jak w starzych komediach klasycznych stosowanie nazwiska do charakteru danej postaci: Dobrotliwski, Szarmancki, Marnotravski itp.

Trudna sztuka poetyckiego mówienia

Tadeusz Nowak, *Uczę się mówić*, Czytelnik, 1953, str. 53 + 3 nłb.

Debiut młodego krakowskiego poety, Tadeusza Nowaka, jest typowym debiutem pisarza, który wyrósł w atmosferze oczyszczonej już z przedwojennych prądów i różnorodnych poetyk, który wyrósł w pełni świadomości celów swej poezji, w przekonaniu, że powinna ona być wyrazem współczesnych problemów i pasem transmitującym te problemy nie do grupki elitarnych smakoszy, ale do szerokich warstw społeczeństwa. U źródeł tej poezji leży więc poczucie odpowiedzialności za jej skuteczność i poczucie odpowiedzialności za adekwatność treści i formy, która powinna być możliwie najbardziej prosta, najbardziej czytelna, bezpośrednio trafiająca do odbiorcy. Nie więc dziwnego, że pierwsza najbardziej rzucająca się w oczy cecha wierszy Nowaka jest ich programowa prostota. Jest to niewątpliwie program bardzo trudny, ale w tomiku „Uczę się mówić” my tego nie widzimy. Autor dużo nam mówi o swych celach i zadaniach, o potrzebie doborzenia właściwych środków wyrazu. Tytułowy wiersz nadaje ton całemu zbiorowi. Wiele jednak mamy możliwości zapoznania się z realizacją tych założeń w rzeczywistości poetyckiej. Krąg poznawczy wierszy Nowaka jest szerszy, nie wychodzi na ogół poza deklaracje i ogólniki, w przeciwnym razie do dość szerokiego kręgu tematycznego tych wierszy. Prosta ich zdaje się świadczyć o jakimś wewnętrznym przekonaniu, że świat się widzi prawidłowo, że w świecie nie ma nic więcej, czego by należało poszukiwać. Dowodzi tego jakiś brak pasji poznawczej w tych wierszach, Towarzyszy wierszom Nowaka nie tylko rezygnacja z oryginalności wykształconej przez stare mieszczańskie kierunki, ale nawet z programowej odkrywczoci poetyckiego widzenia. Ta rezygnacja jest bardzo charakterystyczna. Poezja staje się wyrazem „miłości rzeczy wielkich i prostych” („Z życiorysu Jana Cichego”). Stawia sobie ważne postulaty programowe:

„Uczę się dzisiaj mówić
Zdyszonym kopalni głosem,
Uczę się dzisiaj śpiewać
Wysokim tonem kielni,
Uczę się dzisiaj orać
Poezji pole trudne
Stalowym chłopskim pługiem”
(„Uczę się mówić”).

Albo poeta zdaje się nie rozumieć, że do tego, ażeby ukazać opisywaną rzeczywistość, trzeba wybiec poza ogólniki i pokazać ją nowa przez pryzmat indywidualnego wzruszenia, tak żeby stała się ta opisywana rzeczywistość bardziej zrozumiała dla

czytelnika. A wtedy, gdy poeta potrafi pokazać opisywany świat z własnej, twórczej perspektywy, wtedy dopiero zdania będą „mocne jak mięśnie robotników” („Uczę się mówić”).

Obserwujemy u Nowaka przerost patosu, który jest językiem wszelkiej deklaratywności. Spotykamy nieprze-myślane skojarzenia pojęciowe, prowadzące do paradoksu „węgiel jak lza czysty” („Górnikiem”) i inne sztuczne, wprowadzone chyba tylko dla zachowania potoczystego rytmu piosenki „I długo dzwoniło powietrze jak wiadro” („Przyjaźń”).

Na szczęście w tomiku debiutanta spotykamy kilka wierszy istotnie ciekawych, takich jak „W ogrodzie”, czy „Odpowiedź”. Spotykamy szereg ładnych fragmentów pełnych ujęcia, jakby trochę podskórnej, przebijającej się przez warstwy ogólników, uczuciowości, wyrosłej z miłości do swojej wsi i ludzi, wśród których wzrastał poeta, choć wyrażonej niestety konwencjonalnym językiem. No wak często wpada w ton piosenki partyzanckiej czy masowej, której potoczny rytm i skonwencjonalizowany język nadaje się do łatwego wyrażenia stanów wzruszeniowych („Pierwszy oddział”, „Przyjaźń”).

Serdeczny ton poety, gdy mówi „O człowieku w moim kraju” zachowany został także w wierszu „Żołnierze chińskiej armii”.

„W głębokim piachu grzęznąć
Żołnierze radość nieśli
W salwach nabo pełnych,
W oczach jeziorach cichych!

Dzień każdy więcej pieśni
W zaschniętych ustach strzeszczał
I w nagłym skurczu ręki
Ciepłej od ziemi szorstkiej!”

Jest to jakiegoś ciepła w fizycznym traktowaniu człowieka, tem sam co i w pierwszym wierszu wspólny mianownik braterstwa, internacjonalistyczna, humanistyczna postawa.

Ta postawa, świadcząca o umiejętności przekazywania wzruszenia przez białą wierszy i nastraja nas do młodego poety optymistycznie, pozwala sądzić, że Nowak wciąż będzie powiększał krąg środków wyrazu, że ma po temu możliwości, ażeby wzbogacić obrazowanie, które jest obecnie u niego nader ubogie i powoduje, że w tych wierszach, gdzie porzuca klasyczną zwrotkę, np. w zakończeniu wiersza „O człowieku w moim kraju”, przechodzi w niezreczne rymizowaną prozę.

Tomik Nowaka prowadzi raz jeszcze, że aby z pożytkiem „orać trudne pole poezji”, trzeba nie tylko mieć coś do powiedzenia, ale trzeba umieć to wypowiadać w swoim własnym z trudem wypracowanym języku.

Jacek Łukaszewicz

Platon Kreczet był napisany w 1934 r. Sztuka nadal jednak żyje na scenie i wzrusza. Na wrocławskich przedstawieniach świadczą o tym rzęsiste oklaski, nader częste i bynajmniej nie z urzędu po zamkniętych finałach, lecz w „otwartej akcji” akcentujące podniecenie i aprobatę widzów. Aprobują oni talent autora, wartość dialogu, grę aktorów i... nauczka, jaka wypływa ze sztuki dla naszych medyków. Przecież na widowni mnóstwo ich klientów.

Już kto jak kto, ale lekarze nie mogą narzekać na brak koniunktury u literatów. Gorzej, iż zazwyczaj traktowano ich satyrą. Moier, pominięty zgrzytliwie docinki *Lekarza mimowoli* i *Chorego z urojenia*, nawet łagodnej pasterce (drugi prolog do *Chorego z urojenia*) każe sarkać na medycynę: „Wasza najwyższa wiedza — to urojenie, próżni i niezbyt mądry medycy”. Do rzadkości należały słowa uznania takie, dajmy na to, jak w liście poetyckim Woltera *Do pana de Gerwasa, medyka*: „wracasz cłkryty wieczną chwałą”. Później, to znaczy już w czasach dr. Judyma, młody lekarz uskrzydłony z początku idealizmem, spadał następnie w jakimś Obrzydłównu i, tracąc skrzydła, porastał w pierze. Ten proceder w *Platonie Kreczecie* nie bez oporu zakorzeniał przyzwyczajeni — został zlikwidowany. Mamy tu właśnie dramat likwidacji samolubnych ambicji, nałogów i przyzwyczajeń dawnej medycyny i nie tylko medycyny, bo w ogóle psychiki inteligenta. „Ludzkości, mówię Platon, skradziono słońce na miliony lat... Wierzę, towarzyszu Berest, że niedługo jest dzień, gdy zwyciężymy przedwczesną starość i oddamy przyszłym pokoleniom miliony słonecznych dni”. Chirurg, którego jeszcze raz śmierć pokonała, rozmawia z czaszką podobnie, jak ongiś Hamlet. Tu jednak władza czynna, doświadczalna wiedza i walka. Spięcie dwóch epok.

Wystawienie *Platona Kreczeta* we Wrocławiu było próbą sił młodego reżysera Szymona Szurmieja. Tę właśnie sztukę wybrał on sobie jako „pracę warsztatową”. Debiut na scenie zawodowej nie oznacza w danym razie debiutu w ogóle. Szymon Szurmiej odbył zaprawę reżyserską w teatrze „ochotniczym” zanim przeszedł do „zaciężnego”.

Reżyser miał przed sobą głównie trzy zadania: wygranie konfliktów zakumulowanych obficie przez Korniejczuka, sceny zbiorowe i ułożenie epizodów w odpowiedniej perspektywie wobec akcji zasadniczej. Konflikty między Platonem i dyrektorem szpitala Arkadiuszem, a przy sposobności między starym uczniem lekarzem Terencjuszem i Arkadiuszem między tym ostatnim a młodym personelem lekarskim i na ukończenie z mądrym „mistrzem życia” — Berestem — zostały przez reżysera uproszczone dzięki „jednolitej” koncepcji Arkadiusza. Wskutek zabiegów reżyserskich jest on upozwany, jakby powiedział Norwid, na „demoniaka”, na „czarny charakter”, czarny od a do zet bez subtelniejszych odcieni. Łatwy zatem do złamania maskowania. Tymczasem, wczytując się w *Platona Kreczeta*, odnosimy wrażenie, że intencja autora było kołne, staranne, stopniowe wydobywanie ze skrytek duchowych Arkadiusza coraz podlegszych atutów. No, i misterna gra fałszywymi kartami. Tego we wrocławskim przedstawieniu nie było.

Sceny zbiorowe — tu i ówdzie trochę nieporadne. Zaraz u wstępu — śpiące w oczekiwaniu na powrót Kreczeta z operacji towarzystwo było zanedo „śpiące”. Późniejszy dialog „na jawie” rozwodził się. W dynamicznej scenie operacyjnej dynamika zbyt mocno przerzucona była na bieganinę, na kinetykę. Dlatego ważkie przeżycia Lidy straciły na wadze.

Wreszcie epizodom gdzieśgdzie brakowało proporcji, chociaż były świetnie zrobione. To zwłaszcza raziło w szeroko rozprawionej scenie uczenia się wiersza przez Maię, córkę Beresta. Po prostu zaczynała się „nowa komedia”.

Gra aktorów akompaniowała wiersz na tendencjom reżysera. Jej błędy np. beznadziejność Zbigniewa Niewczasza w roli Arkadiusza (typok, co z hu morem zauważył Wojciech Dzeduszycki, z czarnymi wąsikami wypożyczonymi z rekwizytów „czarnych charakterów”) wynikały z tych właśnie, niekiedy mylnych tendencji. Ale był temperament, werwa i tempo. Sztuka może liczyć na komplety.

Jag.

Co potrafi młodzież filmowa

P O pierwsze dlatego, że jest to drugi film naszej filmowej młodzieży, po drugie dlatego, że oglądamy go w czasie, kiedy po raz pierwszy problem młodych kadr filmowych stał się sprawą otwartą i dyskutowaną — warto omówić szerzej „Trzy opowieści” i sprawy z tym filmem związane.

Niewielu pamięta, że trzy lata temu zespół studentów Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej pod kierownictwem swych nauczycieli, doświadczonych filmowców, zrealizował swój pierwszy film — „Dwie brygady”. Był to obraz dość prymitywny i nie pogłębiony, ale posiadał jedną ważną zaletę: stawiał problem walki nowego ze starym, świadomości człowieka, ukazywał wzajemne oddziaływanie na siebie środowiska robotniczego i inteligencji twórczej.



reprod. Film Polski

Teraz po trzech latach, w końcu kwietnia odbyła się w Nowej Hucie a następnie w całym kraju premiera nowego filmu studentów PWSF „Trzy opowieści”.

Trzeba powiedzieć, że choć jest wiele krajów posiadających uczelnie filmowe, to jednak rzadko zdarza się, aby na ekrany wchodziły filmy robione przez wychowanków tych szkół. Ten fakt ma oczywiście swoją optymistyczną wymowę, ale z drugiej strony nie załatwia on wcale mechanicznie otwartych spraw i problemów młodzieży filmowej, które zostały postawione w toczącej się dyskusji w „Przeglądzie kulturalnym” i nie doczekały się żadnej odpowiedzi ze strony CUKu.

W brakach programowych i organizacyjnych tej uczelni, w braku starań o stworzenie z niej naukowego ośrodka badawczego i teoretycznego kinematografii, w braku dostatecznej opieki i pomocy ze strony poszczególnych wytwórni dla absolwentów szkoły filmowej, dostrzega się węzłowe problemy tej sprawy, czekającej na załatwienie. Studenci uczelni swoim filmem dowiedli, że warto i trzeba im pomóc.

Trzy odrębne opowieści na temat młodzieżowy, składają się na całość filmu, którego scenarzystami, reżyserami, operatorami i aktorami jest przede wszystkim młodzież. Z tego początkowego debiutu, częściowo udanego, można wysnuć ciekawe wnioski.

Po pierwsze okazało się, że mamy młode talenty filmowe, które należy pełniej wykorzystać. Po drugie okazało się, że można robić filmy dobre szybko i tanio. Po trzecie widzimy, że mała forma, 3-4 krótkie nowale obrazowe, połączone w jedną całość, stanowią ciekawy rodzaj filmowy.

Młodzi realizatorzy zostali wyposażeni w minimalny ekwipunek filmowy i mimo złych warunków nakręcili swoje filmy niemal wyłącznie w plenerze w ciągu niespełna pół roku.

Zanim przejdziemy do omówienia poszczególnych części obrazu, na wstępie uwagi ogólne: dla filmu jako całości dużo lepiej byłoby, gdyby jedno opowiadanie rozgrywało się w środowisku młodzieży robotniczej, drugie chłopskiej i trzecie — inteligentkiej. Wtedy lepiej zostałby przedstawiony problem młodzieżowy i uniknięto by wrażenia przypadkowości w doborze tematu. Film zyskałby na sile wyrazu. Pierwsza część „Trzech opowieści”

zrealizowana została w Nowej Hucie i nosi nazwę „Cena betonu”. Reżyserem jej jest Czesław Petelski, zdjęcia — Czesława Swirly.

„Cena betonu” stanowi najsłabszą część filmu. Jest to reportaż sprawozdawczy o wypadku sabotażu na budowie. Scenariusz ustawia sam problem poprawnie, ale od pierwszego sceny filmu wiemy, kto popełnił sabotaż, na czyje polecenie, co zostanie zniszczone; rozładowuje to zainteresowanie akcją, której kulminacyjne momenty zostały rozwiązane szablonowo lub naiwnie. W tym krótkim utworze filmowym wszystko robi wrażenie papierowe, choć wszystko jest rzeczywiście typowe i słuszne.

Śmierć bohatera wydaje się ofiarą niepotrzebną — takiej ceny wcale nie trzeba było płacić za beton.

Drugie opowiadanie filmowe wyreżyserował Konrad Nałęczki, zdjęć dokonali Stanisław Matyjaszkiewicz i J. Lipman. Nosi ono tytuł „Historia Jacka” i jest najmocniej związane z istotnym problemem młodzieżowym: opowiada o junaku Służby Polsce, który kształtuje swój charakter pod wpływem zespołu kolegów.

„Historia Jacka” mimo swych nieporadności (najsłabszą stroną jest scenariusz) stanowi już pozycję ciekawą i niewątpliwie zainteresuje młodego widza. Wyróżniają się w niej młodzi aktorzy szkół teatralnych, a szczególnie ci, którzy występują w rolach drugoplanowych i epizodycznych.

Na szczególną uwagę zasługuje trzecia i ostatnia część filmu, nowela pt. „Sprawa konia”. Reżyserowała ją Ewa Poleska, operatorem był Zbigniew Czajkowski. Rzecz dzieje się we wsi mazowieckiej, gdzie powstaje spółdzielnia. Do biednego chłopca, który całe swoje długie i pełne trosk życie marzył o posiadaniu dobytku, jego wychowanek przyprowadza kupionego w mieście, za zarobione w SP pieniądze — konia. Z zainteresowaniem śledzimy walkę nowego ze starym, jaka się toczy wokół sprawy konia i tworzącej się spółdzielni. O życiu wsi, o głębokich przemianach zachodzących w świadomości chłopów dowiadujemy się więcej z tej krótkiej noweli niż z pełnointrażowego nieciekawego filmu „Gromada”.

Młodzi realizatorzy nasycili swój film trafną i pogłębioną obserwacją życia wsi, nie brak filmowych realiów wiejskich, nie brak mazowieckiego krajobrazu. Udany scenariusz świadczy o talencie młodych realizatorów, a sam obraz — o kulturze filmowej reżyserki i operatora, którzy pokazali, że potrafią sobie dać radę z bogactwem filmowych środków wyrazu. To, co oglądamy na ekranie w tej noweli, to nie nieporadne próby szkolne — to świadectwo prawdziwych zdolności artystycznych.

Pilarski i Opaliński stworzyli w tej opowieści male kreacje aktorskie. Biedny i bogaty chłop w ich interpretacji nie przypomina na szczęście schematycznych szablonów z noweli i rysunków o „tematyce wiejskiej”. Tacy chłopcy naprawdę żyją i mieszkają na wsi. Dotyczy to nie tylko głównych postaci noweli, ale również pozostałych ról. Młodzi aktorzy — F. Matysik, K. Sus, K. Łaniewska oraz starsi — W. Szepeński i J. Graczevska ruszają się swobodnie na ekranie i nie widzimy w nich tej częstej w naszych filmach manieri recytowania swoich kwestii.

Powracając do całości trzeba jeszcze raz podkreślić, że pomijając wszystkie braki i nieporadności młodych twórców, sam fakt, że film ten wchodzi na ekrany, że spotka się niewątpliwie z zainteresowaniem naszej młodzieży, że porusza współczesne, dotyczące tej młodzieży problemy jest wydarzeniem nie wymagającym komentarza. Można tylko wyrazić nadzieję, że nie będzie to sporadyczna próba, ale początek serii filmów uczniów PWSF, a wykazane w „Trzech Opowieściach” talenty umożliwią młodym realizatorom dalszą, samodzielną twórczość.

L. G.

Kilka słów o:

—filmie

CZESKIE FILMY

Na ekrany czeskie weszło szereg ciekawych filmów, które niebawem ujrzymy i u nas. „Stare czeskie legendy” — jest to tytuł filmu zrealizowanego przez znanego reżysera obrazów kukielkowych J. Trnka i jego współpracowników. Film ten został opracowany przez Alojzego Jiraska na podstawie starych legend.

Ciekawy kolorowy film rysunkowy: „Trzy złote włosy dziada Wszewida” zrealizowana według znanej bajki E. Erhana. W wytwórni filmów dokumentalnych na Barrandowie zakończono film poświęcony wybitnemu pisarzowi Iwanowi Olbrachtowi, reżyserii J. Ferencza.

W najbliższym czasie ujrzymy kolorową bajkę czeską pt. „Dumna księżniczka”. Film ten jest już opracowany i zdubbingowany.

ŻYCIE DWÓCH KOMPOZYTORÓW

Mimo że kinematografia angielska przeżywa obecnie okres ciężkiego kryzysu, poszczególni twórcy usiłują pracować dalej, podobnie jak w innych krajach Europy zachodniej, szukając producentów, którzy by mogli sfinansować ich filmy.

W tych trudnych warunkach powstał ciekawy, kolorowy film muzyczny reżyserii Sidneya Gilliaty pt. „Gilbert i Sullivan” opowiadający o życiu i karierze dwóch popularnych w Anglii autorów operowych i operetkowych ery wiktoriańskiej, Arturze Sullivanie i W. S. Gilberte. Ciekawa jest zwłaszcza oprawa muzyczna filmu, która stanowi w doskonałym doborze skrócie utwory obu kompozytorów.

THERÈSE RAQUIN NA EKRAPIE

Triumf neorealizmu w filmie francuskim? Przynajmniej tak pisze fachowa krytyka paryska w związku z ostatnim dziełem Marcela Carné — „Thérèse Raquin”, według powieści E. Zola. Carné, sławny twórca „Ludzi za mgłą” i „Ulicy złoczystej”, zawsze był zwolennikiem realistycznego, najbardziej zbliżonego do prawdy widzenia życia, w „Thérèse Raquin” tendencja ta przybrała jeszcze na sile.

FILM „WARSZAWA” W NOWYM JORKU

W konsulacie Generalnym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Nowym Jorku wyświetlony został film „Warszawa”, który wywarł silne wrażenie na zebranych. I tak np. po zakończeniu filmu robotnik z Paterson, Drabik, zaofiarował swoją całą miesięczną pensję na odbudowę Warszawy. Również inni widzowie złożyli na ten cel różne kwoty.

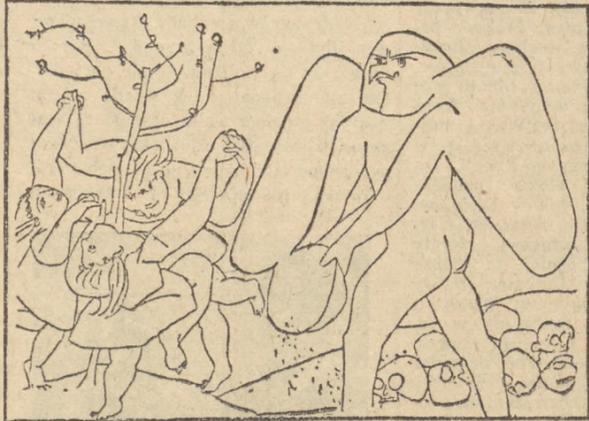
Prastyce

OCHRONA I KONSERWACJA ZABYTKÓW W Z.S.R.R.

W Moskwie zakończyły się trzydniowe obrady w sprawie dalszej ochrony i konserwacji zabytków architektury, zwołane przez wydział architektury przy Radzie Ministrów. Obrady te związane były z objęciem bezpośrednio przez państwo opieki nad około 5 tysiącami obiektów zabytkowych w stolicy. W toku obrad wyłoniona się inicjatywa rozszerzenia tej opieki na całą zabytkową architekturę radziecką.

DZIEŁA PICASSA W RZYMIE

W Galerii Malarstwa Współczesnego w Rzymie otwarta została wystawa dzieł Pabla Picassa. Oprócz wielu znanych i sławnych dawniejszych prac artysty, zwracają przede wszystkim uwagę dwa ogromne najnowsze obrazy, zatytułowane „Wojna” i „Pokój”, a pokazujące w charakterystycznej dla tego artysty formie piękno i szlachę pokoju, nienawiść, cierpienie wojny. Przeszło trzysta rysunków i szkiców



Pablo Picasso — Szkice do obrazu „Pokój”

wykonał Picasso, aby stworzyć te dwa wspaniałe dzieła. Pokój kontrastuje z wojną ty sięcąc szczegółów w radosnych, pięknych kolorach, przestrzeniami pełnymi śmiejących się i tańczących dzieci, sylwetkami ludzkimi pochylonymi w twórczym trudzie. Wojna — to czarne postacie, wspaniałe oddane, w pędzie do zbrodni, zniszczenia i nienawiści, symboliczne wozy wojenne otoczone insektami siejącymi śmierć, ręce matki wyciągnięte w rozpacz, stopy deptające księgi.

ZMIANY WE FRANCUSKIM ZRZESZENIU SZTUK PLASTYCZNYCH

W r. 1941 kolaboracyjny rząd Vichy sporządził listę artystów, którzy mają prawo wystawiania swych dzieł w Salonie dla Niezależnych, wyklu czając zupełnie „judeofitów i osoby o mieszanej rasie”, obecnie (sic!) zniesiono ten niegodny paragraf i u stanowiono nową listę. Obok młodych artystów, weszli ponownie w skład Salonu ówczesni skrośnięci malarze, jak: Léger, Utrillo, Villon, Gromaire, Matisse. Ten ostatni, warto może wspomnieć, pomimo przez wiele lat uprawianego dekoratywizmu, poszukuje bardziej realistycznych podstaw inspiracji twórczej.

RZEZBA RENÉ ICHE

W Paryżu, w maju otwarto pierwszą, po 29 latach twórczości, wystawę René Iche, jednego z najbardziej wybitnych rzeźbiarzy francuskich. W Galerii Bernhe ma wystawiono kamienne i marmurowe postacie, portretowe popiersia oraz meublaż i rysunki. Dominuje wyrażenie realistyczny i monumentalny charakter. „Olimpijczyk”, „Ojciec i syn”, czy „Pomnik zmarłych” (ofiar okupacji hitlerowskiej) dowodzą, że Iche potrafi adaptować i do głębi przetworzyć nieśmiertelne wartości klasycznej rzeźby, jej równowagę kompozycyjną a również szlachetność ujęcia korpusu ludzkiego, który wspólnie z ideą artysty. Rzeźby Iche są wyraziste tym rodzajem realizmu, który zawiera wielki ładunek emocjonalny i psychiczny, ponieważ jest wynikiem głębokiego prze myślenia.

JUBILEUSZ RADZIECKIEGO PLASTYKA

Niedawno minęła 60 rocznica urodzin i 45 rocznica twórczej działalności znakomitego plastyka radzieckiego W. Mieszkowa. W związku z jubileuszem w salach Związku Plastyków Radzieckich w Moskwie otwarto wystawę prac Mieszkowa składającą się z około 300 jego obrazów, szkiców i rysunków.

WYSTAWA PRAC PLASTYKÓW AMATORÓW PRACOWNIKÓW DOMU SŁOWA POLSKIEGO

W Warszawie w Domu Słowa Polskiego otwarta została wystawa prac plastyków amatorów, pracowników zakładów graficznych Domu Słowa Polskiego.

Wystawa obejmuje ponad 120 eksponatów z zakresu malarstwa, grafiki i fotografii o bardzo różnorodnej tematyce.

Nagród Państwowych na rok 1953 wybitnym pracownikom na polu nauki, techniki i kultury.

Za osiągnięcia w dziedzinie literatury, muzyki, sztuki plastycznej i filmu otrzymało nagrody 35 osób i zespołów.

Nagrody Państwowe na rok 1953 za odkrycia w dziedzinie nauk matematycznych, technicznych, chemicznych, geologicznych, medycznych, społecznych, rolniczych oraz za wybitne udoskonalenia w dziedzinie produkcji otrzymało 50 osób i zespołów.

SESJA KU CZCI ST. POTOCKIEGO

Dnia 5 maja Wydział Nauk Społecznych PAN zorganizował sesję poświęconą działalności naukowej i politycznej Stanisława Krstki Potockiego, autora pierwszej pracy z zakresu historii sztuki i archeologii. Sesja odbyła się w 150 rocznicę wygłoszenia przez Potockiego w Towarzystwie Warszawskim Przyjaciół Nauk rozprawy „O sztuce w dawnych czyli Winckelmann polski”.

OBYWATEL HONOROWY DREZNA

W Teatrze Państwowym w Dreźnie w dniu 10 maja odbyła się uroczystość nadania znakomitego pisarzowi duńskiemu i niezłomnemu bojownikowi o pokój, demokrację, socjalizm, Martinowi Andersenowi Nexo, obywatelstwa honorowego miasta Drezna. Dyplom obywatelstwa honorowego wręczył sekretarzowi nadbur-

wszystkim

PRYZNANIE NAGRÓD PAŃSTWOWYCH W CZECHOSŁOWACJI

W niedzielę 10 bm. w Sali Domu Sztuki w Pradze odbyła się uroczystość wręczenia

Marti — szermierz wolności

LITERATURA narodów Ameryki Południowej, niezna na u nas prawie zupełnie, zasługuje jednak na coraz baczniejszą uwagę. Co jakiś czas Europa odkrywa ze zdumieniem nowy potężny talent, ciekawą indywidualność twórczą albo nieznaną dzieło, które wyrósł i dojrzał pod gorącym słońcem Południa. Nazwiska Ruben Dario, Gabriela Mistral czy Pablo Neruda głośną są już dziś na szerokim świecie.

A José Martí? Chyba na skutek jakiegoś paradoksu, powtarzającego się zresztą nieraz w historii, ten wielki poeta pozostał omal zupełnie nieznanym poza kręgiem kultury hiszpańskiej. Dotąd nie ukazała się żadna wyczerpująca monografia godna znaku mego Kubańczyka, brak też prawie zupełnie przekładów jego świetnych wierszy. A przecież Martí zajmuje w poezji swego kraju pozycję najwyższą, podobną do tej, co Wiktor Hugo we Francji czy Mickiewicz u nas. Jego wpływ zawążył głęboko na rozwoju piśmiennictwa i języka hiszpańskiego, nie bez śladu przeszedł on i przez piśmiennictwo Ameryki Północnej — a działalność polityczną José Martí ma decydujące znaczenie w historii ruchów wyzwoleńczych.

Cechą charakterystyczną tego wybitnego twórcy, tym, co go wyróżnia spośród innych poetów i pisarzy XIX wieku, jest rzadka umiejętność łączenia w jedną nierozdzielalną całość dwóch tak na pozór oddalonych dziedzin ludzkiej aktywności: poezji i polityki.

Martí nigdy nie zamykał się w głębiach wieży z kości słońcowej, swoją twórczość poetycką i swą obywatelską działalność polityczną pojmował jako wspólną misję, której celem — realizowanie wolności. Martí był jej prawdziwym apostołem, głosząc ją nieustannie czynem i dokumentując słowem. Właśnie słowem, bo José Martí był na pewno jednym z najoryginalniejszych i najbardziej płodnych pisarzy, jakich kultura hiszpańska wydała w krajach Ameryki Południowej.

OSTAWIŁ po sobie dzieło imponujące rozmiarami: 50 blisko tomów, w skład których wchodziły poematy, esyże o polityce i poezji, studia z zakresu sztuki, z dziedziny ekonomii, krytyki literackiej i muzycznej, a także przemówienia, odezwy, nawet przekłady z obcych języków. Czytelnika współczesnego zdumiewa ładunek myśli, jakie te tomy zawierają, bogactwo erudycji, pasja twórcza i wysoka klasa pisarska cechująca wszystko, cokolwiek Martí napisał. Mimo woli budzi się pytanie: skąd ta wielostronność zainteresowań, skąd umiejętność poruszania się na tak różnych terenach wiedzy ludzkiej?

Martí był z temperamentu i zamiłowania rasowym dziennikarzem — podobny w tym do takich pisarzy, jak Diderot czy Goethe. — Stąd jego ruchliwość, jakaś zachłanna dociekliwość wobec spraw świata. Miał oczy otwarte czujnie na wieśrota, niewyczerpaną w swych formach i przejawach rzeczywistość świata. Stąd świeżość jego odczuć, żywość reagowania na wszystko, z czym się zetknął. Olbrzymi zbiór jego listów i notatek odkrywa przed nami niewyczerpane zasoby obrazów epoki, przenikliwych i odważnych sądów, wypowiedzi zaskakujących swą aktu-

mistrz miasta Drezna, Walter Weidauer.

teatrze

DNI OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY

Od 17 do 31 maja w całym kraju trwają Dni Oświaty, Książki i Prasy. W tym czasie zorganizowano szereg imprez mających na celu popularyzację czytelnictwa, a więc liczne kiermasze książek, których atrakcyjność podniosły występy artystyczne. W gminach i gromadach zorganizowana została obnośna sprzedaż książek, np. w województwie szczecińskim wyruszyły w teren trójki młodzieżowe, które docierają z książką do każdego domu.

Jednocześnie odbędzie się szereg odczytów, spotkań czytelników z literatami, wystaw, które mają na celu zobrazować dorobek kultury narodowej i oświaty w Polsce Ludowej.

OGÓLNOPOLSKI KONKURS RECYTATORSKI

Ministerstwo Kultury i Sztuki wspólnie z Ministerstwem Oświaty organizuje Ogólnopolski Konkurs Recytatorski, który obejmie swym zasięgiem zarówno amatorów, jak i artystów zawodowych.

Celem konkursu jest zaznajomienie szerokiego mas z postępowym dorobkiem dawnej i współczesnej literatury polskiej, podniesienie na wyższy poziom kunsztu recytatorskiego, wykazanie wielkiej siły żywego słowa jako środka oddziaływania artystycznego oraz rozbudzenie zamiłowania do języka ojczystego przez wydobycie całego jego bogactwa i piękna.

MAO TSE TUNG NA KONCERCIE „MAZOWSZA”



Polski zespół pieśni i tańca „Mazowsze” przyjmowany serdecznie przez ludność chińską wystąpił na uroczystym przedstawieniu przed Mao Tse-tungiem. Premier Chin Ludowych Czu En-lai podejmował w dn. 9. bm. na bankiecie cały zespół „Mazowsza”. Na przyjęciu tym wygłosili przemówienia premier Czu En-lai i kompozytor Andrzej Panufnik.

KU CZCI

DANIELLE CASANOWA

12 maja w teatrze Alhambra w Paryżu odbył się pod protektorem E. Cotton i J. Vermeersch uroczysty wieczór artystyczny poświęcony pamięci bohaterki francuskiej Danielle Casanowa, założycielki związku kobiet francuskich, która została zamordowana dziesięć lat temu przez faszystów w Oświęcimiu.

Marcel Freniet specjalnie na ten wieczór napisał uwerturę. Serge Nigg i Jean Wiener skomponowali kantaty do wierszy Pawła Eluard ku czci Danielle. Znany reżyser, Louis Daquin, zmontował całość tego ciekawego wieczoru, którego wykonawcami byli — pieśniarka Irena Joachim, „Chor Ludowy Paryża”, orkiestra symfoniczna, składająca się z 70 osób pod dyrekcją J. Prodromide, oraz duet taneczny Jeanine Manine i J. Guilin.

alnością. Najwięcej uwagi poświęcił sprawie dla jego życia centralnej: ideologicznemu i organizacyjnemu przygotowaniu rewolucji wyzwolenczej na Kubie w roku 1895. Dla tego celu pisał swe artykuły i poematy, tworzył związki, przemawiał. Jego rodzinną wyspą była ostatnią z zamorskich posiadłości Imperium Hiszpańskiego — tegoż imperium, w którym nigdyś „nie zachodziło słońce”. Choć poeta związany był z Półwyspem Iberyjskim wielkim dziedzictwem kultury, walczył przeciw Hiszpanii z całą bezwzględnością w imię świętego prawa do niepodległości, jakie przysługuje także i jego narodowi. Ale Martí dostrzegł również inne niebezpieczeństwo, zagrażające Kubie od strony młodego i drapieżnego imperializmu Stanów Zjednoczonych. Z żywotnością cechującą go zawsze, walczył także i z tym przeciwnikiem.

Przyjrzyjmy się teraz postaci José Martí — poety, bo był nim nieustannie i wszędzie, gdziekolwiek los go rzucił: w więzieniach, na wygnaniu, w wirze walk politycznych, na polu bitew. Jest coś głęboko optymistycznego w tej nigdy nie gasnącej żarliwości twórczej, w niewyczerpanej pomysłowości słownej, w obfitości jego tworzywa.

W WERSZE Proste i Wiersze Wyzwolone (Versos Cientos, Versos Libros) wypełnia najmocniejsze z wszystkich uczuć — miłość — miłość piękna i dobra, miłość do ojczyzny i prostych ludzi. Poematy José Martí zawierają w sobie całe dziedzictwo szczytnego idealizmu Hiszpanii i cały blask przejęty po wielkim romantyzmie europejskim, z którego Martí się wywodzi. Jego twórczość — pisze Armand Godoy — tłumacz poematów Martíego na francuski — przesycona jest duchem chrześcijańskiego humanizmu, choć walcząca — nie ma w niej nienawiści.

W rozkwicie lipca czy w styczniowym śniegu

Przynoszę białą różę

Dla przyjaciela miłego —

Rękę mą różą przedłużam —

A dla rąk obcych, dla rąk wgardliwych

Choć kryją w rękawach sztylety

Nie kryją i nie pokrzywują

Lecz biała róża poety*).

Selna rocznica urodzin José Martí, którą Światowa Rada Pokoju przypomniała ludzkości, zbliży do nas tego wielkiego a nieznanego pisarza, wykaże, jak nam bliskie i jak prawdziwe są jego słowa wypowiedziane przed dziesiątkami lat. Bo José Martí z odwagą, jakiej nie miał nikt w jego czasach, głosił tę przejmującą prawdę, że losy narodów zależą od sprawy pokoju. Właśnie on, który zginął od kul wroga, powtarzał wielokrotnie słowo przy jaży i braterstwo i wielokrotnie protestował przeciwko wojnom, walcząc o taką przyszłość świata, w której już dla nich miejsca nie będzie.

* Przekład M. Bieszczadowskiego.